

712

BIBLIOTEKA „MACIERZY POLSKIEJ“.

Nr. 104.

SEWERYN UDZIELA.

OBRAZKI
Z WIELKIEJ WOJNY
1914—1917.

LWÓW 1917.

NAKŁADEM MACIERZY POLSKIEJ.

GŁÓWNY SKŁAD W ADMINISTRACYI „MACIERZY POLSKIEJ“
W GMACHU SEJMOWYM.



64632

Z drukarni przy Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich we Lwowie

K-218/76 | 73983

JAROSŁAW NAD SANEM W CZASIE WALKI NOCNEJ.

W roku trwogi 1914 widziałem rzeczy niebywale: bezdenną drogę do Żmigrodu z aleją padlin końskich, na których uctowały kruki — fort Siedliska po szturmie, kiedy mózgi rosyjskie zmiatano miotłą z progu — bitwę nad Sanem koło Nowego Miasta z białymi szrapnelami na prawo i na lewo a czarnymi granatami w tyle — ponury magazyn w Rzeszowie, gdzie leżało tysiąc rannych w kamiennym śnie pograżonych, z krwią spływającą na deski — wzgórza pod Limanową, kędy przemknęła konnica apokaliptyczna, rozbijając kopytami czaszki martwych batalionów...

Widziałem to wszystko i jeszcze mnogo innych rzeczy, które aż do końca dni moich będą mnie budzić ze snu. Ale najgłębiej noszę w pamięci obraz cichego Jarosławia. Obraz bez straszliwości, obok innych mniej godnych pamięci.

Pewnego popołudnia ku końcowi października przybyliśmy na dworzec kolei w Przeworsku. Wtedy Rosyanie stali w odległości 18 kilometrów na wschód

od Przemysła wzdłuż linii Sanu, walcząc z naszymi wojskami. Przemysł i Jarosław znajdowały się w ogniu nieprzyjacielskim.

Melancholijna, płaczliwa jesień — godzina, w której ludzie oszczędni namyślają się, czy mają lampę zapalić. Na dworcu płoną już światła i odbijają się na szybach gładko wypolerowanych. Dwa pociągi towarowe sapia, z Wiednia pociąg zakonu maltańskiego; dzwonki dają sygnał, że nadchodzi pociąg z chorymi na czerwonkę. Zajeżdżają wagony szczelnie zamknięte, budząc postrach.

Na peronie tworzą się grupy; oficerowie, którzy przybyli z frontu bojowego i muszą ciągle opowiadać, a dopominają się o dzienniki, ażeby się dowiedzieć o stanie rzeczy nad Sanem — urzędnicy kolejowi, lekarze, pielęgniarki, dozorczy, uganiający za herbatą i rosołem, ranni żołnierze, pospolitacy...

Ponad tem wszystkim ciemna srebrzysta noc. Teraz dopiero spostrzegamy księżyc, który staje się coraz jaśniejszy. A gdy rozmawiamy tak, otaczając dzielne pielęgniarki, na południowym wschodzie podniosła się aż do zenitu straszna, tajemnicza czerwień. Ujrzeliśmy ją nagle i wpijamy w nią wzrok osłupiały. Czy Przemysł płonie?

— Może w Komarowicach pałą słomę z pod chorych na cholera — powiada ktoś.

Ale nie — kierunek nie wskazuje w stronę Komarowic. Zapewne jakiś zabłąkany granat rosyjski wznicił pożar we wsi.

Spieszymy na wiadukt z krat, wiodący ponad dworcem. I oto widzimy na wschodzie pożogę, skaczącą

z dachu na dach. Na wschodzie zaś pod Jarosławiem i na lewo pod Sieniawą huk głuchy: grzmia nasze haubice ciężkie, roznosząc odgłos na odległość 17 kilometrów pośród głuchej nocy. W głębi nad jarem tu i ówdzie zabłyśnie światełko, to błysk z ujścia rur działowych.

Czekałem w zaciekawieniu, co mi dzisiejsza noc przyniesie, gdy porucznik rzekł do mnie:

— Dzisiaj możemy jechać do Jarosławia.

Pół godziny jazdy. Mamy się dostać aż pod nieprzyjaciela. Przygotowania biorą obrót nieco dramatyczny. Komendant dworca wzywa do siebie maszynistę pociągu i poucza go.

— Tylko dwa wagony. Wszystkie światła pogasić. Nie gwizdać, nie wydać żadnego głosu. Maszyna będzie pchać wagony z tyłu.

Żegnamy się wśród śmiechu i rozpoczynamy awanturniczą podróż, której powagę wykazały dopiero przygotowania do niej. Pociąg ciemny sunie powoli, prawie bez szelestu — w ciemność...

Żartujemy jeszcze, przestrzegając się przed nieopatrzem zapaleniem papierosa, który może służyć Rosyjanom za cel. A jednak każdy myśli, czy też granat nie wpadnie przez dach wagonu. Rosyjanie znają kierunek toru kolejowego i ostrzeliwali go nieraz. W ten sposób zabili niedawno kilku urzędników kolejowych.

Całkiem niespodziewanie wylaniają się przed oknami wielkie budynki i znikają. Czy to Jarosław?

Zatrzymujemy się na bardzo dużym dworcu. Nie ma świateł — nie ma żywego ducha. Karabiny maszynowe i działa grzmia doniośle i blisko. Budynek sta-

cyjny ogromny spogląda smętnemi szybami jednego oświetlonego okna, które jest odwrócone od nieprzyjaciela. Trzej służący kolejowi siedzą w izbie zadymionej i dają informacje skąpe na przyspieszone pytania.

— Tak, strzelają ciągle — mówi jeden z nich. — Teraz nie tyle, jak we dnie. Dziś mniej, niż przedwczoraj. Szrapnele pękały koło dworca i kule gwizdały, że nie można było wyjść za drzwi. Dzisiaj popołudniu granat urwał róg drugiego piętra, a drugi zabił na piątym torze żonę budnika.

I oto widzę panoramę ostrzeliwanego Jarosławia w nocy. Wymarłe miasto pośród niepewnego światła księżycowego. Cisza grobowa. Słychać tylko plusk wody w studziencie. Poza tą ciszą piekielny huk dział i trzask karabinów wzdłuż drogi nad Sanem. Trzeszczą karabiny maszynowe, piechota daje szybkie strzały, padają wściekłe salwy działowe. Powietrze syczy rozdzielane pociskami.

Trzy sekundy przerwy, jak gdyby szatan chciał tchu zacerpnąć. Woda w studziencie odzywa się znowu pluskiem, miasto drzemie wśród niebieskiej poświaty księżycowej, kroki moje dają na bruku silny odgłos. W cieniu, zatoczone w ukryciu, stoją samochody z ciężkimi moździerzami. Ciemna postać stoi na straży przyścięta do muru.

Znowu otwiera się na oścież piekło — dzikie płomienie wzbijają się pod niebo. Działa grzmia, karabiny maszynowe znowu trzeszczą, tyralierka odzywa się...

Po chwili znowu pluszcze woda w studziencie, a pośród ulic milczącego miasta słychać odgłos kroków moich, jak gdybym był sam jeden na świecie...

NA TUŁACZCZCE.

Kartki z pamiętnika pani Piotrowskiej...

Po wypowiedzeniu wojny i ogłoszeniu mobilizacji zawrzało w naszym miasteczku, jak w ulu, ale po wyruszeniu powołanych do wojska wróciło znowu wszystko do zwykłych zajęć, oczekując tylko niecierpliwie wieści dziennikarskich. Gdyby nie te długie, nieskończenie smutne, bo puste pociągi pocztowe i ciągłe aresztowania osób podejrzanych, nie miałyby się wrażenia wojny.

Zaraz też zaczęły się tworzyć komitety pań celem urządzenia szpitali, dostarczenia bielizny, pościeli, łóżek i pielęgniarek. Ochocho zabrałyśmy się do pracy z jak najlepszymi nadziejami na przyszłość. Przypominam sobie w tej chwili scenę oburzenia na posiedzeniu komitetu, gdy jeden z panów odezwał się:

— Ale, moje panie, na co to wszystko? Jestem przekonany, że gdy tu będziemy mieć już rannych, to żadnej z pań tu nie będzie, bo wtedy linia bojowa zbliży się do nas.

Ale czy może mieć głos jeden mężczyzna, gdy mówi dwadzieścia kobiet? Zakrzyczywałyśmy go wszystkie i dalej robiły swoje.

Tymczasem zaczął się przemarsz pierwszych pułków. Tu i ówdzie odzywały się głosy, że trzeba będzie miasto opuścić, ale to były głosy pojedyncze. Ogół, widząc te niezliczone kolumny wojsk, armat, trenu przybrał postać odświętną, niemal wesołą. Bo jakżeż można było nie cieszyć się, widząc te wesołe i śpiewające wojska, chociaż maszerowały w skwarze i prochu?

Zaczął się rozmieszczenie wojsk. Mnie dano jednego oficera. Tymczasem, im bardziej zbliżało się ku wieczorowi i coraz więcej wojska napływało, tem więcej oficerów zgłaszało się, prosząc o jaki taki nocleg. Musiałam więc łóżka i kanapy, nawet z kuchni, ustawić w dwóch pokojach i na werandzie, a sama pomieścić się wraz z dzieckiem w łóżeczku dzieciennem. Gdy przepraszałam za niezbyt wygodne spanie, każdy mówił:

— Myśmy szczęśliwi, że mamy dach nad głową.

Ale nie tylko pokoje były pełne. Co chwila otwierały się drzwi do kuchni i wchodzili żołnierze, prosząc o chleb. Gdy jednak wyczerpał się chleb, widząc ich głód i pragnienie, zaczęłam gotować wszystkiego rodzaju krupy, kaszę, herbatę i narobiłam papierosów. Wkrótce też miałam pełną kuchnię gości. Żołnierze rozdzielali sumiennie porcyę między siebie, a już wrzuszającym był wprost widok, jak starsi żołnierze dzielili się z młodymi chłopakami, od ust sobie prawie odejmując, opiekując się nimi, jak własnymi dziećmi.

Tak trwało do pierwszej w nocy. W pokojach siedzieli także oficerowie, pili herbatę, przeglądali mapy lub spisywali na uboczu na kartkach swoją ostatnią wolę na wypadek śmierci, lub ostatnie myśli do osób drogich, może po raz ostatni.

Rano o piątej zaczęli się zbierać do dalszego marszu. Wypoczęci, odświeżeni stanęli w szeregu i szli, śpiewając. Jeden z oficerów, Węgier, stojąc obok mnie, rzekł, wskazując idących a śpiewających wesoło Węgrów:

— Proszę, niech pani patrzy i zapamięta. Tak idą Węgry na śmierć.

Biedacy, nie wiedzieli, że śmierć ta bliższa była, niż myśleli. W mieście zaczęto też przebąkiwać, że koło Narajowa pokazały się patrole kozackie, że koło Przemyślan przyjdzie do bitwy. Zdenerwowanie wzrastało. Pod wieczór przyszło znowu wojsko do miasta i rozkwaterowało się na noc.

Siedziałam na schodach przed domem, gdy nagle usłyszałam w mieście strzały tak szybko po sobie następujące, jak z karabinu maszynowego, a trwające z pięć minut, równocześnie koło ucha zaświstała mi przelatująca kula. Zerwałam się, pewną będąc, że to patrol kozacki — nie wiedząc, co robić, czy ubierać dziecko i uciekać, czy też zamknąć się w domu. W tej chwili zaczęła się druga serya strzelaniny i usłyszałam znowu kule przelatujące a równocześnie kilka spadających na dach domu. Nie wiedząc, co robić, zarzuciłam płaszcz, kazałam służącej obudzić dziecko i ubrać na wszelki wypadek, a sama pobiegłam do miasta, chcąc się czegoś dowiedzieć, nie zdając sobie sprawy, na jakie narażam się niebezpieczeństwo. Lecz zaledwie uszłam kilkadziesiąt kroków, zatrzymało mnie wojsko, nie puszczając dalej. Tyle się tylko dowiedziałam, że to nie Moskale.

Na drugi dzień o szóstej rano pobiegłam do miasta. Lecz ledwie weszłam na rynek, stanęłam jak wryta, nie wierząc oczom własnym. Na rynku leżały trupy

końskie i dalej w ulicy co parę kroków leżał zabity lub ranny koń. Ranni zaś i zabici żołnierze znajdowali się w szpitalu Sióstr miłosierdzia. W mieście zaś całym przygnębiecie okropne, ledwie że mówić się ktoś ośmielił, bo jako zakładników wojsko zabrało ludzi ogólnie poważanych, czyniąc miasto odpowiedzialnym za nocną strzelaninę.

I jeszcze to sprawiedliwość na świecie? Więc to miasto, które tak przychylnie witało wojsko — ci mieszkańcy, te panie, które całymi dniami stały w spiekoście i kurzu, podając spragnionym żołnierzom wodę — miałoby teraz ci sami mieszkańcy zachować się tak wrogo wobec wojska? Szczęściem koło południa wyjaśniło się, że to omyłka była, omyłka smutna, bo pociągająca za sobą ofiary w ludziach, nie mówiąc już o rannych i zabitych koniach. Miasto, po uwolnieniu zakładników, odetchnęło z ulgą, lecz wzajemna nieufność pozostała już do końca.

II.

Ludzie zaczęli się na gwałt starać o legitymacye i uciekać. W południe zobaczyłam pierwsze cofające się wozy trenu i coraz więcej uciekających ze Złoczowa, z Tarnopola, z Brodów, ludzi zdenerwowanych i chorych wprost, którzy na pytanie, czemu uciekają, odpowiadali zgrzyliwie:

— A, my tak z wycieczką familijną na odpoczynek.

To roznieciło jeszcze większy popłoch i ucieczkę. Ja, jakkolwiek postarałam się o legitymacyę, nie mogłam jeszcze uwierzyć, że trzeba będzie uciekać.

Wróciwszy do domu, zastałam znowu trzech oficerów świeżo przybyłych. Zaczęłam też zbierać obrazy, srebro, makaty, chcąc to wszystko schować, co miało dla mnie jakąś większą wartość, a nie wiedząc, gdzie te rzeczy ukryć, kręciłam się po pokoju bezradna. Bo czy to słowo: „pakować się“ nie jest wprost śmieszne w takiej chwili? Co można pakować, jeżeli człowiek wie, że może już nigdy nie powróci do tego kąta swego? A obecnie nie może brać ze sobą wiele pakunków... Wtenczas już taka niechęć, taka rezygnacya opanowuje człowieka, że najchętniej zostawiłby wszystko.

Najwięcej niepokoiła mnie myśl, gdzie ja z dzieckiem będę uciekać, nie mając wiele pieniędzy przy sobie? Mąż mój, powołany do wojska, był wtedy w Przemysłu i z pewnością nie miał pojęcia, jakie tu u nas zapanowały stosunki.

Umówiłam się z panią Dobrowolską, której mąż był na czas wojny w Samborze, że razem pojedziemy. Oprócz tego miało z nami razem jechać trzech panów.

Tymczasem miasto opróżniło się, ponieważ wszystko od rana czekało już na pociąg, który dopiero wieczorem miał odejść. Po południu poszłam do miasta coś kupić na drogę do jedzenia i załatwić kilka innych drobnych sprawunków, a przecież nie traciłam jeszcze nadziei, że może sytuacya zmieni się na lepsze. Miasto było już tak wyludnione, szczególnie z kobiet, że obecność moja tutaj zwracała wprost uwagę. Mimo woli przypomniały mi się teraz owe posiedzenia i szerokie rozprawy tych pań, które pierwsze pouciekały, jak również trzeźwe słowa owego pana, który to przepowiadał.

Przygnębiona wróciłam do domu, zabrałam dziecko i służkę i poszłam spać do pani Dobrowolskiej. O ósmej ciemno już było w całym mieście, nie wolno było nikomu ani wychodzić ani świecić w pomieszkaniu, z powodu zejść ostatniej nocy. Całą też noc nie zmrzyłam oka. Pierwszy raz tej nocy posłyszeliśmy huk armat.

Rano wróciłam do domu swego spakować się już na prawdę, bo w południe mieliśmy wyjechać. W domu zastałam ruch. Oficerowie wydawali rozkazy, wypełniali je żołnierze.

Otworzyłam kosz i walizę podręczną, do kosza spakowałam bieliznę, ubrania, futra, srebro, ważne dokumenty mego męża — do walizki rzeczy bardziej w podróży potrzebne. Zdenerwowana, chwytalam, co mi w rękę wpadło, biorąc nieraz rzecz bezużyteczną.

Tymczasem na podwórzu u mnie odbywały się egzekucye. To wystrzałami rewolwerowymi dobijano chore konie, które, pod oknem leżąc, jęczały i konały w śmiertelnych konwulsjach.

Ubrana już do drogi poszłam pożegnać się z moimi gośćmi i prosić, by klucz od pomieszkania zostawili żandarmeryi. Gdy stanęłam poraz ostatni w pokoju i rzuciłam okiem po każdym sprzęcie, w kącie każdy — gdy pomyślałam, że odchodzę ze swoich kątów na zawsze może, na, Bóg wie, jaką dolę i poniewierkę — taka ogarnęła mnie boleść, że nie mogłam już płakać, ale, gdy rzekłam do dziecka: „Chodź!“, nie poznałam sama głosu swego.

III.

Mieliśmy dwie fury, bo pociągi już nie szły, a jeden z panów, prezes Sroczyński, wystarał się ledwie o nędznego konika wraz z wózkiem.

Wyjechaliśmy we środę o godzinie dziesiątej przed południem, ostatni. Na jednej furze pani Dobrowolska, ja z dzieckiem i dwóch panów, na drugiej służa i rzeczy, zaś na owym wózku z konikiem właściciel tegoż, prezes Sroczyński. Jechaliśmy w stronę Bursztyna, chcąc dostać się za Dniestr. Upał był wprost nie do zniesienia. Koniki chłopskie ledwie uciągnąć mogły wyładowane fury, a widok ustawiającej się do bitwy artylerji nie dodawał nam wcale otuchy. Na dobytek wszystkiego już po drodze spotykamy powracających uchodźców, od których dowiadujemy się, że nie ma pogo jechać, bo most na Dniestrze już wysadzony. Niepewni, co się z nami stanie, dojechaliśmy do Bursztyna.

Bursztyn, jak wymarły — zostali tylko ci, którzy spóźnili się z wyjazdem, a teraz patrzą na nas, jak na wybrańców losu, nie mogąc dostać koni.

Tu znowu dowiadujemy się, że przez most pod Martynowem nie puszczają już, bo ma być dzisiaj w nocy wysadzony w powietrze... Chcąc dać koniom wypocząć i zasięgnąć dokładniejszych wiadomości, musieliśmy stanąć.

Tak radząc i zbierając wieści, ujrzeliśmy oddział nadjeżdżających honwedów i oficerów, który — jak się

to w rozmowie pokazało — zgubił swoją mapę sztabową i o parę kilometrów od Bursztyna ostrzeliwany był przez patrole kozackie, a teraz nie może się zorientować, gdzie jest. Od strony Ludwikówki, skąd przyjechał, uciekają tłumy ludzi, prowadząc bydło za sobą. Dowiedzieliśmy się więc nowej rzeczy, że mamy Moskali nie tylko za sobą, ale i przed sobą, a tu wojsko przez most nie puszcza.

Całe szczęście, że prezes Sroczyński spotkał tu znajomego wojskowego z pospolitego ruszenia, który przed paru tygodniami pełnił służbę na moście i który zobowiązał się przeprowadzić nas przez most pod warunkiem, że weźmiemy jego żonę i dzieci na furę. Zgodziliśmy się chętnie. Tymczasem zamiast jednej pani wsiadły cztery, dwoje dzieci, dwie sługi, ksiądz, gospodyni księdza, moc pakunków, koszów i dwóch żołnierzy, którzy mieli nas przez most przeprowadzić. Można sobie wyobrazić naszą jazdę! Nowi przybysze tak się rozgościli na naszych i tak już wyładowanych furach, że w końcu myśmy się uczuli tutaj natrętami. Konie ledwie uciągnąć mogły, dzieci krzyczały, pakunki i kosze, z których te panie całe piętro nad naszymi głowami ułożyły, regularnie co kwadrans waliły się na nas. Przyjechaliśmy wreszcie na most.

Tysiące fur, ludzi i bydła, wszystko to czekało na pozwolenie przejścia mostu. Tu trzeba przyznać, że eskorta dwóch żołnierzy o tyle nam pomogła, że byliśmy jedni z pierwszych, którzy most przejechali i wyrwali się z tego prawdziwego piekła, z tych tumanów kurzu, z tych przekleństw i poszturkiwań. Przejechaw-

szy most, udaliśmy się wprost do szkoły w Siwce, gdzie założony był też szpital.

Można sobie wyobrazić nasze przerażenie, gdy dowiedzieliśmy się, że prezes Sroczyński, jadąc ostatni za nami, został przez honwedów jeszcze przed mostem zatrzymany koło Martynowa.

Zostaliśmy poprostu bez środków do życia i bez możliwości ucieczki, bo wszystkie nasze pieniądze i legitymacye miał właśnie prezes Sroczyński przy sobie, jako że on był kierownikiem tej naszej ucieczki. A tu żołnierze na seryo mówią o wysadzeniu mostu wieczór.

Woźnice, którzy nas wieźli, pozrzucali nasze rzeczy na podwórzu, nie chcąc dalej jechać. Przygnębieni usiedliśmy na sianie na polu, tamte panie ulokowały się w szkole; wogóle przestały się nami interesować, skoro tylko przyjechały tu na naszym wózku. Oczekujemy powrotu prezesa, chociaż na prawdę nie mamy nadziei, aby przyjechał.

Tymczasem nad nasze spodziewanie się przyjechał o dziesiątej wieczór, przywożąc ze sobą rannego żołnierza. Odetchnęliśmy wszyscy z ulgą i teraz dopiero zabraliśmy się do naszych zapasów, zabranych z domu jeszcze, słuchając opowiadań prezesa.

Otóż przed mostem pozostał za nami w tyle, bo konik nie mógł ciągnąć. Wtedy spotkał kilkunastu Honwedów, którzy nie mogli trafić do pułku, zatrzymali go i kazali się zawieść pod linię bojową. Dojechali z powrotem do Bursztyna. Tu dopiero wachmistrz żandarmerji wyratował prezesa z opalów, dając Węgrom wóz parokonny. Wracającemu już dano na wózek ciężko rannego żołnierza, i dzięki temu żołnierzowi oficerowie,

pełniący służbę na moście, okazali się względniejsi i przez most przepuścili.

Skoro wszyscy znaleźliśmy się razem, poukładaliśmy się na sianie, chcąc zasnąć. Ale o spaniu mowy być nie mogło. Ciągłe strzały, huk armat, światła reflektorów od strony Halicza, skrzywienie wozów trenu na gościńcu, maszerujące cicho wojsko, opowiadanie, że w tym samym ogrodzie, gdzieś spali, złapano poprzedniej nocy trzech kozaków, którzy się przekradali przez Dniestr i ukryli w konopiach — wreszcie położenie, w jakim znaleźliśmy się, nie mogło nas zachęcić do spania.

A położenie to nie było do pozazdroszczenia. Na karku Moskale i my z rzeczami i z jednym konikiem. Boże zmiłuj się, jaki to był koń! Bez nadziei dostania jakiegokolwiek fury za górę złota, a przez to samo bez nadziei ucieczki, a tu zapasy naszej żywności kończyły się...

IV.

Widząc, jak wojsko ustawia się w linię bojową, nie pozostało nam nic innego, jak zostawić wszystkie rzeczy i uciekać. Tak też zrobiliśmy. Na wózek spakowało się tylko małe ręczne walizki, zostawiając srebro, dywany, futra, pościel na Opatrzność Boską. Dziecko także usadowiło się na wózku, a sami, idąc obok, wyruszyliśmy na tułaczkę, żegnani zazdrosnymi spojrzzeniami pozostałych.

Początkowo szliśmy szybkim krokiem, gdy nas jednak dopędziły oddziały trenu, musieliśmy z nimi ra-

zem, biegnąc przy wózku, mając pełne usta i oczy prochu, prażeni słońcem, uciekać na złamanie karku.

Tak ciężko i niemal o żebraczym chlebie doszliśmy do Zawadki.

Jako tako przespawszy tę noc, dostaliśmy na śniadanie herbatę po 60 halerzy za szklanekę, a która smakiem i wyglądem przypominała wszystko inne, tylko nie herbatę.

Zaraz też od rana zaczęliśmy się tutaj oglądać znowu za furą, ale wszystkie usiłowania spełzły na niczem. Musieliśmy się wyrzec nadziei jechania i ruszyć w dalszą drogę pieszo.

Nogi mieliśmy pokaleczone, bo, pomijając zmęczenie i gorąco, każdemu z nas w tej ucieczce albo koło przejechało nogę, albo koń nastąpił. Ale na leczenie i narzekanie nie było czasu, więc szliśmy dalej wytrwale, prosząc tu i ówdzie o kawałek chleba i o trochę kwaśnego mleka.

W południe powstała burza z piorunami i z deszczem a w dodatku grunt gliniasty, rozmokły oblepił nam buciki tak, że dźwigając nogę, dźwigało się co najmniej dwa kilogramy umieszanej gliny. Koń ślizgał się, pod górę nie mógł ciągnąć, trzeba było wózek popychać.

Tu też usłyszeliśmy znowu huk armat coraz wyraźniejszy i trwający bez przerwy.

Zmoczeni, bez suchej nitki na sobie, doszliśmy aż pod Stryj. Tutaj dopiero wynajęliśmy konie, zostawiając naszego konika u dzierżawcy i obiecując odebrać go po wojnie.



Opisać się prawie nie da, z jakim uczuciem ulgi wsiedliśmy na wóz po trzydniowej męce.

Teraz jedynym naszym pragnieniem było dostać się do Stryja, gdzie — jak wyobrażaliśmy sobie — skończy się nasza tułaczka i męka. Niestety, zaraz na wstępie spotkał nas zawód.

Stryj napełniony był po brzegi uchodźcami.

Ledwie prezes Sroczyński wystarał się dla nas kobiet o pokój w hotelu. A jaki to był pokój! W niezbyt przyjemnem sąsiedztwie, sam wypełniony amoniakiem, bez okna, z dwoma łózkami żelaznemi, ale bez poduszek i kołder. Można sobie wyobrazić noc spędzoną w takiej norze. I to my jeszcze dobrze spały, bo panowie rozdzielili się i jeden przespał noc na ławce na dworcu kolejowym, a drugi w podrzędnej restauracji. Trzeci natrafił na jakiegoś kolegę i u niego znalazł przytułek. Mimo takiej nocy cieszyliśmy się, żeśmy już w Stryju i że odpoczniemy. Dzięki nadzwyczajnej grzeczności pana aptekarza, chociaż całkiem nieznanego, wynajęliśmy jakieś dwa pokoje; w jednym miałyśmy obie założyć gospodarstwo, a w drugim panowie. Zaczęliśmy odzyskiwać dobre humory — niestety — nie na długo, gdyż już po dwóch dniach pobytu musieliśmy znowu spakować rzeczy i wyruszyć na dworzec, bo nieprzyjaciel zbliżał się do miasta.

V.

Ten straszny ścisk, to zamieszanie nie da się wprost opisać. Tu zniknęły już wszelkie formy towarzyskie i wszelkie względy. Bojąc się o dziecko, wzię-

łam je na rękę, ale nie wiele to pomogło, bo jakiś obcy jegomość, robiąc sobie miejsce, potrącił mnie tak silnie, że potknęłam się na walizce leżącej i upadłam wraz z dzieckiem. Gdyby nie nasi panowie, nie byłabym wstanie podnieść się w tym strasznym natłoku. Do tego wszystkiego wszystkie przedziały w wagonach były pozamykane, jak gdyby ludzie mieli jechać na dachach, a o konduktorze ani słychu.

Ale, jak to mówi przysłowie „potrzeba jest matką wynalazków“, tak też i nasi panowie w tem trudnem położeniu zrobili wynalazek. Oto przez otwarte okno wcisnęli najszczuplejszego, który od wnętrza otworzył drzwi do przedziału. Dzięki temu znaleźliśmy się w postawach siedzących. Zaledwie przyszlismy do przytomności, pani Dobrowolska zauważyła brak kuferka swojego. Nie pomogło szukanie — ukradziono go — a moja towarzyszka niedoli stała się nagle właścicielką tylko tego, co miała na sobie.

Wieczorem przyjechaliśmy do Sambora, gdzie mąż pani Dobrowolskiej przyjął nas u siebie w pokoju. Tu też natrafiliśmy na dom państwa profesorów Lewickich, zacny w całym tego słowa znaczeniu, który nas, ludzi obcych, przygarnął bezpłatnie i zapewnił wszelkie wygody.

Lecz i tu zaledwie zaczęliśmy swobodniej oddychać, już spostrzegliśmy coraz więcej wojska, aż wreszcie cała cofająca się armia znalazła się w Samborze.

I tak upłynęło znowu dni parę w ciągłej trwodze o powodzenie naszej armii. Niestety przyszedł dzień, że trzeba było uciekać dalej. A trzeba było uciekać furami, bo pociągi już nie szły.

Spakowaliśmy się na dwóch wozach i wyjechali, żegnani ze łzami w oczach przez państwo Lewickich, którym groziła lada dzień ta sama poniewierka.

W drodze spotykaliśmy co chwilę to grupy wojsk, to treny, to wreszcie wozy Czerwonego Krzyża. Pierwszego dnia dojechaliśmy do Chyrowa.

Tu ledwie znalazł się wolny pokój, za który żyd zażądał siedm koron. Cóż było robić? Ze względu na dziecko zmęczone zgodziłam się. Państwo Dobrowolscy, którym się to wydawało za drogo, umieścili się z panami na plebanii, ale na słomie na ziemi.

Wczesnie rano, ledwie oprzytomniałam ze snu, zobaczyłam wchodzącą żydówkę do pokoju, który się nie zamykał, i oglądającą moje walizki i koce. Zdaje się, że nie wielkie one wzbudziły w niej zaufanie, wskutek przebytych tarapat, bo zażądała zaraz zapłaty za pokój. Ale tu już nie byłam w stanie zachować zimnej krwi, złapałam żydówkę za kark i wyrzuciłam za drzwi. Zirytowana uczułam pragnienie, a że nie było szklanki, chwyciłam za dzbanek z wodą, ale zaledwie przełknęłam parę łyków, uczułam wstrętny smak w ustach. Podeszłam bliżej do okna i zobaczyłam na dnie dzbanka gruby na trzy centymetry czarnozielony osad wraz z robactwem, przypominającym bardzo glisty ziemne. Tego było mi już za dużo. Wytracona z równowagi zawołałam żyda, zapytałam o nazwisko i powiedziałam, że znajdzie się sposób na ukaranie właściciela hotelu. Żyd się tak przestraszył, że za pokój nic nie chciał przyjąć. Naturalnie, nie skorzystałam z jego gościnności, ale zapłaciłam mu dwie korony za ten wspaniały nocleg.

Rano ruszyliśmy dalej i znowu wlekliśmy się dzień cały, zanim dojechaliśmy do Liska.

VI.

Na trzeci dzień dopiero przyjechaliśmy do Sanoka, chcąc się dostać na kolej. Lecz tu ulice były zamknięte przez wojsko, niepozwalające nikomu jechać na kolej. Baliśmy się spóźnić do pociągu. Ktoś doradzał nam, że można się dostać na kolej starą drogą, zamienioną obecnie na kanał. Otóż tym kanałem, w strasznym powietrzu jechaliśmy tak, że zdawało się, iż konie połamią nogi a my karki. Nareszcie stanęliśmy u wylotu ulicy, niedaleko dworca kolejowego.

Tu dopiero zrozumieliśmy powód zamknięcia ulic. Oto prowadzono pod bagnetami całą gromadę areztowanych na dworzec. Szły kobiety w chustkach i kapeluszach, mężczyźni w mundurach kolejowych, studenckich i cywilni w rozmaitym wieku.

Po przeprowadzeniu ich, przedostaliśmy się ledwie na dworzec. Tu istne przedpiekle: wszystkie miejsca zajęte, dzieci płaczą, panie gotują na stołach całe kolacye. Głodna byłam porządnie, więc poszłam do restauracyi, chcąc kupić bułek parę. Lecz restauracya była pełna wojska, a panna, którą prosiłam o coś do jedzenia, popatrzyła na mnie takim wzrokiem, jakbym ja do niej przemawiała przynajmniej w języku Zulusów, i nie bardzo grzecznie obróciła się, powracając do miłszego zajęcia, do obsługi oficerów i żołnierzy.

Po kilkugodzinnem oczekiwaniu zobaczyliśmy nadchodzący wreszcie pociąg i znowu potracani, postur-

kiwani znaleźliśmy się w przedziale, gdzie siedziała jakaś kobieta z trojgiem dzieci.

Ta jazda w ciasnocie, w tem okropnem powietrzu przesyconem tytoniem prostym, zapachem potu i kożuchów chłopskich, opisać się nie da. W nocy przyjechaliśmy do Jasła, gdzie już cały dworzec zabity był wprost naszymi Legionistami. Tutaj prezes Sroczyński postarał się o pozwolenie przespania reszty nocy razem z Legionistami w baraku bez ścian ale z dachem nad głową i na słomie.

Wczesnie rano zbudziliśmy się. Zimno było porządne, ale trzeba było przyprowadzić siebie i ubranie do porządku. Obie z panią Dobrowolską poszłyśmy pod studnię myć się i czesać. Przy wspólnych siłach nie źle się nam to udało. Ledwie też ukończyłyśmy naszą toaletę, gdy zajechał pociąg z jeńcami. Otworzono wozy a publiczności pozwolono zbliżyć się i rozmawiać. Nie wydali mi się tak głupimi, za jakich ich mają; z całym zrozumieniem rzeczy rysowali na podłodze wagonu plan bitwy i sposób, w jaki zabrano ich do niewoli, oraz pokazywali orderzy swoje uzyskane w wojnie rosyjsko-japońskiej.

Wreszcie nadszedł i nasz pociąg, a usiadłszy w tych samych warunkach, co zawsze, przyjechaliśmy do Nowego Sącza. Tutaj nie mogło być mowy o tem, aby dostać jakiś pokój do zamieszkania; trzeba było szukać schronienia w okolicy. Jakoż w Gołkowicach polskich za Starym Sączem wynajęliśmy dwa pokoje w domku przy gościńcu, ale prawie w lesie. Lecz im dalej znaleźliśmy się od huku armat, tem częściej spotykaliśmy lu-

dzi nie tylko obojętnych na naszą niedolę, ale wprost nieszlachetnych.

My, wyzuci z całego majątku, musieliśmy dwa razy tyle płacić za wszystko, jak inni; — a ile trzeba było naprosić się, nagadać gładkich słówek, nachwalić wszystkie dzieci, krowy, gospodarstwo, zanim dostało się kawałek masła za podwójną cenę!

Już zaczęliśmy na dobre zagospodarowywać się, gdy jednego dnia zmuszeni do załatwienia w mieście różnych sprawunków, przyjechaliśmy do Nowego Sącza i tu z wielkiem naszym zdziwieniem dowiedzieliśmy się, że główna komenda wyjechała w nocy... W mieście panował ruch nadzwyczajny, starostwo, wprost oblężone, zwoziło kufry i zapasy na kolej automobilami, wozami i końmi.

Więc znowu trzeba było jechać dalej!

Dzięki znajomości w starostwie dostaliśmy ledwie legitymacye i poszliśmy zaraz na kolej dowiedzieć się, kiedy pociąg odejdzie.

Już po drodze spotykaliśmy płaczące panie i mężczyzn zdenerwowanych, idących z kolei. Nie wiedzieliśmy jednak, co to znaczy. Zaraz jednak zrozumieliśmy wszystko. Na dworcu kolejowym przy wejściu przylepiono kartkę: „Ruch pociągów wstrzymany dla osób cywilnych...”

Ten pośpiech odjeżdżającego wojska, niemożebność wyjazdu, wreszcie wzmagająca się z dnia na dzień w mieście cholera, to wszystko podziało bardzo przynębiająco na ludność. Siedliśmy na nasz wózek z Gołkowic, by się jeszcze tego samego dnia spakować a rano

nazajutrz wyjechać. Z wielkim trudem wynaleźliśmy furę, która za opłatą 45 koron miała nas zawieść do Nowego Targu, gdzie spodziewaliśmy się złapać pociąg idący do Wiednia.

VII.

Ostatnia noc w Gołkowicach nie mało przyniosła nam zdenerwowania. Oto ledwie usnęliśmy umęczeni pakowaniem, gdy zbudziło nas skrzypienie kół na gościńcu i miarowy tupot nóg. Zerwaliśmy się do okien i zobaczyliśmy przy blasku księżyca cofający się tren, resztki wojska z Nowego Sącza i wreszcie w swoich powozach prasę wojenną. Naturalnie nie zasnęliśmy do rana, a o szóstej siedzieliśmy już na wozie i ruszyli w dalszą wędrówkę.

Zmarznięci na kość dopiero o dwunastej godzinie w nocy dowlekleliśmy się do Nowego Targu. Po całogodzinnem chodzeniu i szukaniu uprosiliśmy wreszcie restauratora, że nam pozwolił umieścić się na ławkach w bufecie, i tak leżąc noc przedrzymaliśmy.

Rano dowiedzieliśmy się, że o ósmej odchodzi pociąg z Nowego Targu na Suchą Horę. Uszczęśliwieni wybraliśmy się na dworzec. Ale tu zaledwie zdolaliśmy się precyzyjnie, tyle ludzi z całego Nowego Targu czekało na pociąg.

Dzięki przytomności umysłu prezesa Sroczyńskiego dostaliśmy siedzące miejsca wraz z jednym państwem tak, że nas dziesięć osób umieściło się w jednym przedziale.

Koło południa przyjechaliśmy do Suchej Hory. Tu w tym strasznym ścisku trzymano nas w nieopalo-

nych wozach do godziny szóstej wieczór. Lecz zaledwie ruszyliśmy, zgasała lampa oliwna w naszym przedziale i dalszą podróż odbywaliśmy zupełnie po ciemku. A muszę zaznaczyć, żeśmy nie jechali za darmo, ale płacili za bilety kolejowe. Wreszcie o drugiej w nocy stanęliśmy w Karlowan.

Tu — jakkolwiek to byli Węgrzy a my Polacy — traktowano nas, jak włóczęgów. Przedewszystkiem nie mogliśmy się dowiedzieć, czy mamy wysiadać, czy jechać dalej. Trzy razy wynosiliśmy nasze pakunki z wagonu i wnosili napowrót. Wreszcie powysiadali wszyscy, nie wiedząc, jak długo przyjdzie nam czekać na pociąg następny.

Serce bolało patrzeć na te biedne matki dźwigające maleńkie dzieci na rękach, a prowadzące za rękę starsze, nie mogące sobie dać rady. To zdenerwowanie, ten płacz!... A nikt z tych „przyjaznych“ nam Węgrów nie pospieszył z jakąś radą, pomocą...

Bezradni staliśmy, nie wiedząc, co począć, gdy prezes Sroczyński wrócił, przynosząc nam ukradkiem posłyszana wiadomość, że właściwy pociąg do Wiednia odchodzi o szóstej rano, a teraz ma iść pociąg, który nas wszystkich odwiezie na boczną stację i tam umieści, by nie puścić do Wiednia.

I dziwna rzecz, wprost nie do uwierzenia. Gdy pociąg zajechał, zaczęto ludzi zganiać, jak by było do wozów przeważnie towarowych. Czynność tę wypełniali gorliwie dwaj żandarmi, pilnując, by pociąg wypełnić po brzegi. I słyszałam rozmowę ludzi wsiadających:

— Panie konduktorze, to do Gracu?

- Tak, do Gracu.
- Czy ten pociąg na Morawy?
- Tak, tak, na Morawy.
- Czy do Wiednia?
- Naturalnie! Proszę wsiadać.

I z pośpiechem pakowali się ci biedni do wozów w przekonaniu, że każdy jedzie do miejsca swego przeznaczenia. Ci tylko, co schronili się przed oczyma żandarmów do restauracyi, uniknęli tego losu.

Rzeczywiście o szóstej zajęchał pociąg, wsiedliśmy w mniejszym już znacznym natłoku i ruszyli w drogę. Na drugiej, czy trzeciej stacyi zobaczyliśmy ów pierwszy pociąg, odstawiony, bez maszyny na torze bocznym i tych wszystkich biedaków. Nie wiem, co się z nimi stało potem, myślę jednak, że przespać choćby jedną noc z dziećmi małemi w takich warunkach, to trzeba przypłacić conajmniej utratą zdrowia.

W drodze do Wiednia jeszcze dwa razy kazano wysiadać tym ludziom, którzy byli chorzy, z obawy przed cholera, i tym, którzy nie byli urzędnikami. Wreszcie stanęliśmy w Wiedniu.

Ale jakież jest nasz los tutaj we Wiedniu? Wołę nie pisać o nim. Codziennie tylko proszę Boga, by mi jak najprędzej pozwolił wrócić do pustych, ale swoich kątów.

KOPANIE ROWU.

U schyłku wieczora położyli pionierzy na zboczu, może pięćdziesiąt do siedmdziesięciu metrów od nieprzyjacielskich zasieków drucianych, a sto do sto dwadzieścia od wioski obsadzonej przez przeciwnika, białą wstęgę, wzdłuż której ciągnąć się ma rów wypadowy. Gdy noc nadejdzie, otrzyma piechota rozkaz: „Do roboty!”

W przepaścistym wąwozie, w odległości kilkuset metrów, obozują oddziały, które mają jutro od tej strony uderzyć na wioskę, dzisiaj zaś będą kopały rów. Czeka ją jeszcze na ostatni posiłek, by pokrzepić się przed czekającą je pracą. Wreszcie nadciągają wysłańcy, niosąc beczki z kawą, chleb lub inne pożywienie. Wszystko rzuca się ku nim, żądając kawy i wody. Tu na górze nie ma nic do picia, a przecież są tacy, którzy otrzymaną wieczorem flaszkę wypróżnili już około północy tak, iż przez dwadzieścia następnych godzin pozostali bez napoju.

Wysłańcy klną. Musieli przebyć wyboistą drogę przez gliniasty teren, podziurawiony wyrwami grana-

tów i to w noc ciemną, zanim z dalekich, ustawionych w tyle kuchni polowych dotarli do wąwozu. A pozatem widok kilkugodzinnej pracy przy kopaniu rowu, jaka ich jeszcze czeka, oczywiście nie bardzo ich pociąga.

Posiłek jeszcze się nie ukończył, gdy nagle rozlega się dla połowy obozu komenda:

— Baczność! Zbierać się u wyjścia z wąwozu!

Upływa jeszcze chwila, zanim podoficerowie zgromadzą wszystkich ludzi swoich. Rozdziela się łopaty i kilofy, wydaje się ostatnie rozkazy. A przedewszystkiem jeden i ten sam rozkaz:

— Bezwzględna cisza! Światła nie wolno używać!

Odmarsz. Poprzez zarośla, kamienie i odłamki drzew toruje sobie kolumna drogę. A teraz przez zbocze spieszenie „gęsiego“ ku górze wzdłuż białej wstęgi, aż do jej końca.

Wież płonie. Tu i ówdzie języki żółtych płomieni. Od czasu do czasu, gdy z przytłumionym łoskotem stacza się belka lub mur wali, wystrzelają one wysoko w górę czerwone i jasne. Większej wagi nie trzeba chyba przywiązywać do tego pożaru. Nie jest on w stanie oświetlić zbocza, wzdłuż którego ma być rów usypany. Gorsze są kule świetlne, które wylatują w przestworza, rzucają zwiędłe światło na górę i dolinę. Wtenczas należy stać spokojnie jak słup, a jeszcze lepiej rzucić się zawczasu na ziemię tembardziej, iż prawie za każdym razem z tuzin strzałów przeszywa światłość. Syczące granaty odśpiewują zwykłą swoją piosnkę wojenną.

Wreszcie rozstawiła się równomiernie kolumna na całej linii oznaczonej białą wstęgą. Placówki ubezpie-

czające są już na przednich pozycjach. Kilofy i łopaty rozpoczynają pracę. Niestety! Po cieniutkiej powłoce gliny kamienie-kamienie-kamienie. Łopaty leżą spokojnie obok karabinów. Tylko kilofy walą w twarde, biały kamień tak, iż wyskakują małe iskierki.

Podoficerowie chodzą tu i tam.

— Nie wyprawiajcież takiego hałasu!

Dobrze im tak mówić. Kamień i żelazo muszą wydawać głosy, a wtedy nie można wykonywać tej pracy w ciszy i w głuszy.

Niejedna kropla potu spada na kamień. Tu i ówdzie są tacy, którym się zdaje, że już wszystkie siły z nich uszły. Sierżant, który spełnia nadzór, pochyla się nad spoczywającymi.

— Chłopcy, spróbujcież raz jeszcze. O godzinie pierwszej nastąpi zmiana. Do tego czasu pracujcie, co tylko sił starczy. To wszystko przecież dla waszej korzyści. W tym rowie będziecie jutro musieli siedzieć w ogniu nieprzyjacielskim niejedną godzinę, zanim przydzie do szturm. Przypatrzcie się, czego to można dokonać.

— A która teraz godzina?

— Minęła jedenasta.

— Boże święty! Więc jeszcze dwie godziny!

I twarde, znużone ręce imają się znowu pracy i jakkolwiek szybkość roboty maleje zwolna, mimo to gorliwa praca wre dalej, aż wreszcie, wreszcie przychodzi zmiana.

Wprawdzie jeszcze nieco zaspani i zgryźliwi, ale w każdym razie ze świeżymi siłami zabierają się nowo przybyli natychmiast do pracy. Na szczęście napotyka

się w wielu miejscach po pokonaniu warstwy kamieni na miękką ziemię. Łopaty są znowu w użyciu. Zdaje się, jakby po przewyciężeniu skalnego pokładu ujawniły się nowe siły. Rów staje się coraz głębszy i głębszy.

Przyszli pionierzy. Kilku oficerów i podoficerów czyni przegląd robót, to udzielając jeszcze wskazówek, to ganiąc lub chwając. A potem rozdzielają część przeprowadzonych ze sobą ludzi między pracujących. Kilku z nich ma doprowadzić pracę do końca w miejscach szczególnie niebezpiecznych, inni zaś budują w ośmiokrowych odstępach w przedniej ścianie rowu stopnie, mające służyć do wypadu. Rozpoczyna się nowa, świeża praca. Ostatecznie piechota nie pozwoli na to, by miała się wstydzić przed pionierami.

Tymczasem pozostała garstka pionierów otrzymała inne polecenie. Skuleni, częścią nawet pełzając całkiem po ziemi, skradają się przez zbocze ku nieprzyjacielskim zasiękom drucianym. Wkrótce daje się słyszeć tu i ówdzie cichy dźwięk, tajemnicze szczykanie. Teraz są już przy robocie, przecinają silne zapory z drutów kolczastych, by utorować przez nie drogę możliwie najszerszą.

Ci, którzy pozostali w rowie, nad słuchują i starają się przebić wzrokiem ciemność. Czy ci, po tamtej stronie nawet teraz niczego jeszcze nie zauważają?

Kilka strzałów przerywa powietrze.

— Baczność! Uwaga!

Wszyscy przypadają do ziemi, ktoś chwyta za karabin. Przycicha również szczyk i dźwięczenie na przodzie koło drutów. Jednak nie wywiązuje się nic z tego.

Widocznie, było to kilka zwyczajnych strzałów przednich placówek.

— Do roboty chłopcy, dalej, dalej! Za godzinę musi być wszystko gotowe!

I znowu migają kilofy, łopaty ryją ziemię. Gdzieś tam jest już rów dostatecznie głęboki. Mimo pomrukiwania muszą ci, którzy wcześniej byli gotowi, pomóc w innych miejscach.

— Nakrywać!

Wydobyte z rowu kamienie pokrywa się ciemną gliną, kawałkami darni. Ci, którym spieszo, stoją już z karabinami przewieszonymi przez plecy, z kilofami i łopatami na ramieniu. Na wschodzie zaczyna już dzień.

Bogu dzięki, powrót!

W mgnieniu oka wypróżnia się rów. Spiesznym krokiem powracają spracowani żołnierze do wąwozu na odpoczynek chwilowy.

Potem do walki...

ARTYLERYA POD NOWEM MIASTEM.

Na wzgórzach koło Nowego Miasta rozszalała walka na dobre.

Tutaj w słońcu stały armaty, haubice połowe dziesięciocentymetrowe. Nie wyobrażajcie sobie, aby huk strzałów był bardzo groźny. Ot, jak grzmi wielki bęben w muzyce wojskowej. Ale gdy tych armat bije dziesiątek i gdy brzmia ciągle, bezustanku, wtedy dzieje się coś, co sobie trudno wyobrazić, gdyby się tego nie słyszało i nie widziało.

Tam w górze, wzdłuż pagórka, gdzie ustawiono armaty, zdaje się, że się ziemia rozpada. Tam niby wulkan zije ogniem i żelazem. Oszalała ziemia, jakby sama siebie chciała pogрузić w bezdennej przepaści ognia.

Z rury działowej z sykiem i hukiem wybiega płomień czerwony, ziemia drży i jęczy, naokoło grzywy ogniste nad płonącymi wsiami. Tu i tam pocisk rozrywa most, obala wieżę kościelną, burzy fabrykę...

Liczą: cztery, sześć, ośm, piętnaście armat... a wszystkie wyrzucają kłęby dymu.

— Nie zbyt miło przechadzać się w tem miejscu — odzywa się porucznik przy rezerwowych wozach z amunicją do swego towarzysza.

— Tak, nie zbyt przyjemnie.

Przed pięcioma minutami tutaj oto padł granat. Szczęściem nie wyrządził szkody nikomu. A jednak o jakie pięćdziesiąt kroków czyhała już śmierć. A tam wdali widać pola pokryte poszarpanymi ciałami ludzkiemi...

Ze wzgórza schodzą już ranni; znużeni śmiertelnie, owinięci w bandażę białą, przez które przecieka krew. Jeden z nich umiera na drabiniastym wozie, u innych w oczach obłęd, ręce zaciśnięte kurczowo.

Jakiś koń, wydający ostatnie tchnienie, cały we krwi, podnosi z wielkim wysiłkiem łeb słabnący.

Słychać jeszcze jedną komendę z ust oficera, który obsługuje telefon, komendę wyrzuconą gwałtownie, jakby na śmierć i życie. Głos oficera zabrzmiał nieopisaną energią, oczy prawie wyszły na wierzch, oblicze, opalone wichrami, uczyniło się niemal czarne, gdy zakrzyknął:

— Dawać całą amunicję szrapneli!

Wszystko to dlatego, aby ani na parę minut bateria nie zacięła, aby człowiek ani na parę minut nie przestał pełnić obowiązku na swoim stanowisku.

Przez cztery dni trwa praca naszych żołnierzy w ogniu. Dzisiaj nastąpi piąta noc tej niesłychanej walki. Nie wszyscy oni są oficerami i żołnierzami z powołania, ale wszyscy śpią nocami na mokrej ziemi przy swych działach a często nie śpią wcale. Nieprzyjaciel tego nie dopuszcza. Zwykle już po północy Moskale

zaczynają kanonadę. Wówczas wszyscy nasi żołnierze stają przy lawetach i o śnie nie ma już mowy.

Tam w dolinie u stóp wzgórza pozycje nieprzyjaciela. Jest prawie niewidzialny, głęboko okopany, jak w twierdzy. Od czterech dni ostrzeliwa artylerya te miejsca oszańcowane. Dziś ma je wziąć piechota; z nastawionym bagnetem ma wyprzeć stamtąd wroga. Jest to walka najstraszliwsza, jaką można wyobrazić sobie. Już widać, jak piechota zaczyna zbierać się do szturm.

A tam wysoko, pod czystą, błękitną kopułą nieba płynie lotnik i bada pozycje nieprzyjacielskie i daje wskazówki, jak się ma odbyć na ziemi walka najpierwotniejsza, jaką pamiętają dzieje, walka piersi o pierś!

Artylerya gra ciągle...

W nizinie, poza linią strzałów stoi komendant bateryi. Twarz jego nabrzmiała krwią, głos ma dźwięk szczególny. W mieszkaniu przemawia się inaczej. Niekiedy stara się przekrzyczeć huk haubic. Głos jego brzmi dziwną egzaltacją, każdy rozkaz jest rozdzierającym krzykiem. Drut telefoniczny, zakończony słuchawką, ciągnie się przez dziesiątki kilometrów i bywa niepokojony w najrozmaitszy sposób. A oficer musi każdy wyraz dokładnie usłyszeć, podobnie jak najbliższa komenda każde słowo tegoż oficera. Nie dziw więc, że głos komendanta ma tony egzaltacji i wyrzuca wyrazy z napięciem, aby otrzymać odpowiedź: „Usłyszano“.

Teraz drut telefonu przenosi szybko wyrazy:

— Strzelać! Numer czwarty! Ognia!

Zaraz po nich widać błysk, słyszeć huk straszliwy, powietrze naokoło zatrzymało się i płomień wystrzału wybiegł pod błękitne niebo.

Podziwienia godną jest praca artylerzystów. Ścisła matematyka, dokładne obliczanie tuż w sąsiedztwie śmierci, precyzya wykonania rozkazów aż do ostatniego tchnienia. Co jakiś czas śmierć usiłuje przerwać tę pracę, wciska się w szeregi pracujące z gorączkowym pośpiechem. Ale ci żołnierze zdają się nie spostrzegać tego. Poruszają się wśród deszczu szrapneli, jak każdy z nas na ulicy, gdzie również może grozić niebezpieczeństwo od spadającej deski z rusztowania, lub od pędzącego samochodu.

Ten spokój, pod którym kryje się tyle napięcia nerwów i mięśni, tyle podniecenia i gorączki w każdym momencie, zaiste ma w sobie coś godnego podziwu.

ŻYCIE W ROWACH STRZELECKICH.

Pragniecie dowiedzieć się, jakie życie prowadzą żołnierze w rowach strzeleckich?

Oto posłuchajcie; mogę wam o niem wiele opowiedzieć, bo właśnie wracam stamtąd.

Jesień, dzień smutny, nad ołowianym krajobrazem unosiła się mgła gęsta. Szeroka droga bita ciągnęła się ku wschodowi. Jechaliśmy powoli, bo długie kolumny z amunicją i prowiantem zatarasowują drogę. Ponorury, deszczowy krajobraz. Wszystko, co porusza się naprzód na gościńcu, wygląda na sen. Zupełnie inaczej przedstawia się wojsko maszerujące w piękny, słoneczny dzień jesienny. Tak, tak! Pogoda to ważny czynnik wojny, a jesień jest może najgorsza z pór roku pod tym względem. Zimy bać się nie trzeba; zima jest sucha, suche zimno łatwo zwalczyć, drogi zamarzną, i wozy będą mogły łatwo sunąć naprzód.

Mija godzina za godziną, ale jakoś jedziemy, chociaż droga oślizła i lepka. Wstało blade słońce jesienne, ale nie grzeje; powoli ustępuje pod niem mgła i wilgoć. Nakoniec docieramy na tył frontu, tam gdzie stoją

piekarnie i lazarety, kolumny taborów i park amunicyjny. Skręcamy na drogi polne przez łąki, grunt zorany i małe strumyki. Nakoniec widać jakąś wyżynę z rowami strzeleckimi.

Wchodzę do jednego i rozglądam się po okolicy. Jakiś strzał przerywa ciszę. Nad słuchuję, lecz nic nie huczy dalej. Widocznie walka doznała przerwy.

Idę ku rowom strzeleckim wysuniętym bardzo ku przodowi. Człowieka, który przychodzi „ze świata“, przyjmują w takich sytuacjach zawsze ciepło, życzliwie. Chociaż ten „świat“, z którego przybyłem, jest małym miasteczkiem, opuściłem zupełnie przez mieszkańców, zamienionem teraz na ołbrzymie koszary, śpi się na worku do spania, a o żadnej gospodzie ani słycho.

Ale ludzie w rowach strzeleckich mogli od dni kilku nie jeść nawet konserw, a o łóżku nawet nie marzą, więc jestem dla nich człowiekiem, który opowie niejedno.

Więc opowiadam wiele, wiele szczegółów, które wyłowiłem z gazet, liczących co najmniej dziesięć dni życia, a dochodzących od czasu do czasu za wielką łaską poczty polowej. Wypadki, jakie opowiadam, pewnie już dawno przegonione zostały przez inne, lecz dla tych dzielnych ludzi, którzy od całych tygodni leżą po rowach strzeleckich, wszystko jest nowością niezmierną.

Opowiadają mi też swoje własne nowości.

Słyszę o trudnych marszach, o krwawych walkach, o atakach nocnych z przeważającą siłą Moškali i o wściekłym ogniu szrapneli. Historia w każdym rowie strze-

leckim jest jedna i ta sama; zmianę wnosi tylko otoczenie, w jakim się ją słyszy. Ono nadaje ton i barwę.

Rów, w którym słucham obecnie, jest pozycją główną, zajął ją batalion strzelców. Ciągnie się na wysokim wzgórzu. Na paręset metrów przodem leżą nasze straże przednie również okopane i wypatrują oczy. Przez binokle widzę dalej pozycje rosyjskie na jakieś półtrzecia kilometra od nas. Dziwne sprawia uczucie ta bliskość nieprzyjaciela.

Po tamtej stronie ciągły ruch, jak w mrowisku. Ale nie pada strzał ani stąd ani stamtąd. Za daleko. Na półtrzecia kilometra nie można już strzelać z ręcznej broni z jaką taką pewnością trafienia.

Na 40 do 50 metrów przed nami ziemia porośnięta granatami. Żołnierze opowiadają mi, że lekka bateria rosyjska stała tam na łańcuchu pagórków i posyłała wczoraj popołudniu granat za granatem w to miejsce, lecz wszystkie padały w zagłębienie i strzelanina ta nie kosztowała nas ani jednego człowieka.

Tego samego wieczora patrol rosyjski podsunął się ku naszym rowom strzeleckim aż na sto metrów. W chwili, gdy po rekonensansie miał odejść ku swoim, odkryli go chłopcy nasi i... ani jeden żołnierz nie uszedł.

Poza takimi małymi zdarzeniami żołnierze żyją sobie w rowach wcale przyjemnie: gromadzą się razem, gotują jedzenie, śpiewają i nie myślą o bitwie, gdy tymczasem posterunki obserwacyjne, wyciągnąwszy przed szaniec lufy karabinów, wypatrują dokoła, czy nieprzyjaciel nie podsuwa się z której strony.

Niedaleko rowu strzeleckiego widać dwie baterie artylerii a za nimi potężny wiatrak. Co za niezręczność,

myślę sobie, aby właśnie przy wiatraku okopywać działa. Przecież artyleria nieprzyjacielska ma wyborny cel, może wymiarkować odległość, a potem wali, jak w bęben.

Idę tam. Bateria znajduje się od nas na jakie dwieście kroków. Im bliżej podchodzę, tem szczególniejszą wydaje mi się ta pozycja. Widać wprawdzie armaty, w przerwach trzydziśmetrowych stoi działa starannie schowane za zasłonę, lecz żołnierzy ani śladu. Wymarła bateria...

Nie długo trwa ta łamigłówka. Już na sto kroków widzę doskonale, że obie te baterie są pozycją pozorną. Ale maszkarada przeprowadzona jest doskonale. Ławetę reprezentuje wózek na dwóch kołach, rurę armatnią grubo pień drzewa wsparty na osi tak, że koniec wystercza groźnie z poza osłony.

Jakie dokładne meldunki musieli poprzynieść lotnicy rosyjscy do swej kwatery, obejrzawszy te silne pozycje artylerii niemieckiej! Nigdybym nie przypuścił z daleka, że pozycja jest pozorną. Ustawiono nawet fałszywe wozy z amunicją.

Kto wie, może i ten wiatrak, ułatwiający celowanie, jest dekoracją teatralną? Podchodzę jeszcze bliżej. W istocie. Sześć ogromnych beczek jedna na drugiej przedstawiają budynek, a skrzydła zbite z desek.

Wojna współczesna jest mieszaniną wszystkiego: aeroplany, Zeppeliny, olbrzymie moździerze, karabiny maszynowe, a przy tem wyrafinowaniu techniczniem proste podstępny wojenne z czasów naszych naddziadów. Idzie tylko o to, aby przekonać przeciwnika.

Posuwam się dalej na front. Znów widok niecodzienny. Na długim odcinku linii bojowej użyto kawa-

leryi spiesznej na załogę rowów strzeleckich. Biedacy! Kawalerzyście pewnie nie musi być najprzyjemniej leżeć zagrzebanym w ziemi, jak kret, strzelić od czasu do czasu, a potem nudzić się i czekać, aż dla odmiany przyjdzie znów do jakiej małej pukaniny. Nie byli tem nadmiernie zbudowani. Rotmistrz, zakopany po uszy, pochłaniał właśnie z gniewem kiskkę wątrobianą i nie ukrywał się wcale ze swemi uczuciami.

— Od tygodnia siedzę w tej dziurze, jak piechur, czekając, póki panom Rosyanom nie przyjdzie na myśl wystawić łbów z rowu. Wówczas zaczyna się strzelanina. Czy to zajęcie dla kawalerzysty? Pocóż mamy konie i pałasze? Ale to wina Moskali, bo nie chcą stawać w otwartem polu. Gdy ich szwadron zobaczy sześciu naszych ułanów, zaczynają się wyścigi. My z tyłu, oni przodem. A mają dobre konie i rzadko kiedy uda się nam doścignąć ich. Czy to wojna? Ani jednego ataku!

Rozumiałem smętek ogarniający ojca szwadronu, więc wy dobyłem na pociechę butelkę Bordeaux, dobrze ukrytą w kieszeni paltota. Mam wrażenie, że nawet złapanie paru tuzinów kozaków nie sprawiłoby rozgoryczonemu komendantowi tak dziecinnej radości, jak ten widok.

— To naprawdę dla mnie? — spytał.

A gdy zapewniłem, że może uważać flaszkę na prawdę za swój prawowity dobytek, przycisnął ją do piersi, jak ukochane dziecko, obejrzał miłosnym wzrokiem etykietę i pieścił ją czule.

Tak, tak, kto od całych tygodni miał w ustach tylko wodę z błotem, dla tego flaszką wina czerwono-

nego jest bezcenną, nawet wtedy gdy pochodzi z kraju nieprzyjacielskiego.

Słońce chyliło się ku zachodowi, szwadron został zlurowany, za zasłoną przeprowadzano konie.

— Wsiadać!

Z kompanii piechoty zrobił się znów szwadron konnicy. W jednej chwili zmienił się nastrój, wygląd, postawa żołnierza.

Przez chwilę jechaliśmy razem, potem na rozstajnych drogach szwadron skręcił na prawo, ja na lewo.

— Do rychłego zobaczenia się! — zabrzmiały okrzyki.

Żegnano czule człowieka, który miał ze sobą całą flaszkę wina czerwonego.

— Do widzenia! — odpowiedziałem.

Ale ilu znów zobaczę? Jutro lub pojutrze walka zawrze na nowo, w rowy strzeleckie zaczną padać kule i gdy zatrąbią do ataku, ilu wstanie z tych, którzy się tam położyli?...

W POWIETRZU.

Wczoraj wieczorem wrócili lotnicy nasi z podróży wywiadowczej na wschód; jeden dotarł do Wojnicza, drugi do Tarnowa. Wycieczka odbyła się pomyślnie. Opowiadali, że w obrębie Tarnowa toczą się walki zacięte, przeważnie artyleryjskie, a nacisk powietrza, wywołany przez nasze baterie, jest tak silny, że nawet w wysokości 1800 metrów daje się dobrze odczuć aeroplanom.

Wzdłuż dolnego biegu Dunajca okopały się na prawym jego brzegu baterie rosyjskie. Koło Wojnicza spostrzegli nasi wywiadowcy ukryte wśród lasów baterie wroga. Lotnik-porucznik opowiadał nam, że jedna z tych baterij już zniknęła pod ogniem dział austriackich a dwie inne wkrótce tensam los czeka. Zresztą w tej części Dunajca panuje spokój, zaś górny bieg rzeki jest w rękach naszych, a rosyjski front został odparty na wschód łukowato i ofenzywa Moskali zatrzymała się obecnie.

Słuchaliśmy ciekawie tych opowiadań i zarzucali licznymi pytaniami obydwóch lotników, tem więcej, że każdy z nas lada godzinę spodziewał się otrzymać rozkaz do wyjazdu powietrznego, z jakiego powrócili nasi koledzy.

I rzeczywiście niedługo czekałem na swoją kolej. Zawezwano mnie do Komendy i polecono udać się jutro rano do Królestwa Polskiego nad Nidę i dalej w głąb kraju i zbadać rozłożenie wojsk rosyjskich.

Natychmiast wybiegłem dać jeszcze ostatnie polecenia do przygotowania wszystkiego, co potrzeba do jutrzejszej podróży, a następnie udałem się do mieszkania, aby się przespać, a potem wyruszyć w drogę ze świeżymi siłami.

Było już późno w noc — nie mogłem jednak usnąć. Miała to być pierwsza moja podróż wywiadowcza ponad stanowisko nieprzyjaciela. Zadanie ważne, ale trudne i niebezpieczne. Czy wrócę z tej podróży?

Wstałem, zaświeciłem lampę i napisałem słów kilka do matki, której serce przeczuwa zapewne niebezpieczeństwa, jakie czekają syna, i niepokoi się o niego.

Po północy zaledwie usnąłem, ale spałem tak twardo, że służący obudził mnie dopiero. Była godzina czwarta rano. Szybko zebrałem się, zjadłem śniadanie i poszedłem spiesznie do samolotu. Chociaż tak wcześnie, a już obserwator, monter i cała obsługa była na miejscu. Naokoło panowała noc ciemna i uroczyście cicha. Mój motor szedł regularnie, jak zegarek, a to rzecz główna. Byłem pewny, że się na nim nie zawiodę.

O w pół do siódmej wzniosłem się w powietrze. Wspaniały szkarłat różowego poranka rozciągał się przed nami. Kilkaset metrów w górę wzniesliśmy się nad miasto. Kraków śpi jeszcze. We mgłę porannej wije się Wisła szara i wąska, przepływając stare miasto królewskie, którego miedziane dachy kościołów i pałaców pokryła śnieżna odwieczna. Pod nami rozpościera się łańcuch fortów: starsze są zielone i mają brzegi wysokie, nowe są zupełnie schowane w ziemi. Przed nami, widać to po dymie z kominów, wykopano podziemne mieszkania, których drzwi zwrócone są ku miastu. Przez korytarze łączące prowadzą małe mostki.

Od zaśnieżonych linii pagórków odcinają się linie „pospolitaków“, pracujących nad dalszymi fortyfikacjami polowemi; inne kolumny kopią rowy strzeleckie z obu stron gościńca — a wszyscy wyglądają, jak robaczki. Dalej ku granicy ze względu na pole strzałów wycięto pola i lasy, zniesiono wsi. Przez binokle można rozpoznać kupy gruzów, resztki wysadzonych w powietrze i zburzonych osad, a studnie wiejskie z małymi daszkami stoją jeszcze wśród ruin.

Po stronie rosyjskiej widzimy wioski dotychczas nie zniszczone. Strzechy rozpierają się na pomalowanych na niebiesko ścianach, które od strony wiatru opancerzono słomą przeciw zimnu. Kobiety powywieślały po płotach pościel dla przewietrzenia.

Na gościńcu ciągną na północny wschód samochody ciężarowe kolumn prowiantowych, jadą wozy, maszerują wojska i patrole konne ku Nidzie, gdzie od tygodni leżą naprzeciw siebie nieprzyjaciele, głęboko w ziemi zagrzebani.

Lecimy znów ku północy.

Pomocnik zwraca uwagę moją na dwa inne samoloty, które pod nami spieszą do domu. Przybywają z patroli.

Ale zbliżamy się do pola walki. Coraz wyraźniej rozróżniamy okropności wojny. Wzbierało we mnie uczucie wzniosłej grozy, gdy po raz pierwszy oglądałem rozległe pole bitwy. Jak wielka płaskorzeźba leżało wszystko przed nami.

W tej chwili byliśmy oddaleni od nieprzyjacielskich stanowisk mniej więcej o dziesięć kilometrów, więc należało się mieć na baczności. Tu muszą znajdować się już pierwsze nieprzyjacielskie rowy strzeleckie, więc wnoszę się szybko ku górze, aby zniknąć w chmurach i nie zdradzić się zawczasu.

Sądząc po liczbie obrotów naszej śmigły, po przeciwnym wietrze i po czasie, znajdowaliśmy się już zapewne 40 do 45 kilometrów poza terenem nieprzyjacielskim. Z wysokości 2000 metrów zniżyliśmy się na 1500 metrów wciąż ukryci za chmurami. Nagle otworzył się nam widok na kilka sekund, potem znowu chmura. Teraz byliśmy oddaleni od ziemi tylko na 1000 metrów i mogliśmy dokładnie obserwować wszystko.

Jednakże zaledwie rozejrzeliśmy się trochę, już pierwsze kule nieprzyjacielskie zaczęły koło nas świstać. Żadna nie trafiła nas dotąd, ale wnet potem zaczął się ogień artyleryjski.

Szybko zwrot! — i znów byliśmy w chmurze, w tym najlepszym schowku, w którym natychmiast zmienia się kierunek, i nieprzyjaciel nie ma już celu.

Za chwilę znowu zjechaliśmy na dół i przez dwie minuty lecieliśmy spokojnie wciąż w pobliżu chmur, porobiliśmy potrzebne zdjęcia i notatki i zamierzaliśmy już wrócić do swoich. Wtedy zaczęła się ku nam z dołu wściekła strzelanina. Piechota i artyleria strzelały do nas, jakby o zakład. Nasza maszyna chwiała się strasznie kilka razy, należało stać spokojnie i nie tracić głowy. Mimowoli spojrziałem na mój zegar benzynowy i nie mało przeraziłem się, gdyż wskazywał tylko 52 litry. Gdzież się podziała reszta? Jeszcze przed pół godziną wskazówka wskazywała sto litrów przeszło. Teraz wskazówka szybko przesuwała się na 50, 45, 40 litrów i wskazywała dalsze ciągle ubytki. Zrozumiałem, że kula nieprzyjacielska przebiła zbiornik benzyny i skutek tego benzyna wyciekała szybko. Bez wahania należało nam wznieść się zaraz w górę, aby z wysokości jakich trzy tysiące metrów spuścić się lotem ślizgowym, bo tylko to mogło nas uratować. Na szczęście byliśmy jeszcze na wysokości 1800 metrów.

Mój obserwator i ja zwracaliśmy uwagę tylko na benzynę i na to, co się działo na dole, nie spostrześliśmy więc, że już od jednego kilometra ścigał nas nieprzyjacielski samolot w wysokości około 2500 metrów. Nie mogliśmy się już wznieść wyżej, zlecieć niżej także nie, bo o sto metrów niżej moglibyśmy być narażeni na celne strzały.

Przeżyliśmy długie, straszne sekundy.

Nastawiłem motor na największy stopień szybkości i lecieliśmy dalej z szybkością 120 kilometrów na godzinę.

Nagle wstrzymałem motor. Jednopłasczynowiec, który nas ścigał, był już ponad nami i przed nami. W oddaleniu obu samolotów od siebie o 200 metrów zaczął się pojedynek między dwoma obserwatorami. Ale trwał zaledwie jakich 10 sekund, gdyż naraz jednopłasczynowiec nieprzyjacielski zachwiał się strasznie, potem przechylił się i spadł. Mój obserwator trafił pilota nieprzyjacielskiego.

W pięć minut później lecieliśmy ponad naszymi stanowiskami — byliśmy uratowani.

Niestety, gdy przybyliśmy na stację i wyskoczyłem wesoło z maszyny, aby ucisnąć rękę memu obserwatorowi i podziękować zato, że pokonawszy przeciwnika, uratował mi życie — jakżeż się przeraziłem! Mój najlepszy przyjaciel, mój obserwator trafiony kulą wroga leżał bez ruchu, martwy, na swoim siedzeniu...

MAŁY WOJOWNIK.

Już zmierzchać zaczynało, gdy do komendanta oddziału Legionów polskich, który zatrzymał się w miasteczku, zgłosił się szczupły, nie wielki chłopczyna i nieśmiało prosił, aby go przyjęto do służby w Legionach.

Komendant obejrzał go badawczym spojrzeniem od stóp do głowy i powiedział:

— Jesteś za mały i za słaby. Ile masz lat?

— Czternaście — odrzekł chłopiec — a tak bardzo słaby nie jestem, tylko spróbujcie, co potrafię.

Uśmiechnął się komendant, poklepał chłopca ręką po ramieniu.

— Dobrze, dobrze, widzę, że chciałbyś być żołnierzem i bić wroga, co ojczyznę naszą gnębi już od wieku przeszło. Ale teraz jesteś jeszcze za młody i za wątły. Idź do domu, ucz się, a da Bóg, będziesz jeszcze miał dosyć sposobności służyć ojczyźnie.

Zaświeciły łzy w oczach chłopczyny, że odrzucono jego gorące chęci walczenia za ojczyznę, ale zarazem jakaś zaciętość odbiła się na twarzy.

— Nie wrócę — postanowił w myśli chłopiec — tam wyśmialiby się ze mnie, a tutaj żołnierzom mogę się przydać.

— I cóż? I cóż? — pytali go żołnierze za powrotem — przyjął cię komendant? Cóż powiedział?

Chłopiec byłby się rozplakał, ale wstyd go było tych młodych żołnierzyków, z którymi razem pragnął iść na wojnę, opowiedział tylko swoje niepowodzenie, ale dodał, że pójdzie z nimi, że będzie im służył jak najlepiej, a przecież nie odepchną go od siebie.

I został Staszek w kompanii. Każdemu posłużył, każdemu starał się być potrzebny, kręcił się wszędzie, pomagał wszystkim. Wysługiwali się też nim chętnie i nie żalowali łyżki stawy.

Oddział podążył na front i rozpoczął krwawe boje.

Nie ustraszył się trudów i niebezpieczeństwa nasz chłopiec, ale zdawało się, że teraz dopiero znalazł się w swoim żywiole. Mały, zgrabny, sprytny, dostał się zawsze tam, gdzie starsi nie mogli. Biegał z rozkazami, chodził na wywiady wśród grzmotu dział i trajkotania karabinów maszynowych uśmiechnięty, wesoły, wygwizdywał tylko ciągle piosnki żołnierskie, których umiał co nie miara. A wzdychał tylko ciągle do karabinka, do munduru legionisty.

Jednego dnia rozpoczęli Moskale atak zaciekle na nasze rowy strzeleckie i podsuwali się coraz bliżej. Okolica była równa i bezdrzewna. Do okopów trudno się było zbliżyć, a legionistom trzeba było dostarczać amunicji, bo w rowach trzymali się mocno i razili gęsto wroga.

— Dajcie mnie, ja im doniosę, czego potrzeba! — prosił się rozgorączkowany walką dzielny chłopiec i przewiesiwszy dwie torby płócienne przez obydwie ramiona, nosił w nich naboje i w czapce także do rowów strzeleckich, nic sobie nie robiąc z gradu kul, jakie gwiżdżały dokoła.

Z podziwem patrzyli żołnierze i generał austriacki, który wtenczas Legionami polskimi dowodził, na tę nieustraszoną odwagę chłopca. Ponieważ przebiegał często równą, nieosłoniętą niczem przestrzeń, więc karabiny maszynowe rosyjskie wzięły go za cel i ostrzeliwały gęsto. Ubranie Staszka i czapkę podarły kule w strzepy, a chłopiec cudem tylko ocalał. Żadna kula nie drasnęła go nawet.

Po skończonej bitwie, z której nasi wyszli zwycięsko, polecił generał wystąpić pułkowi polskiemu i wezwał dzielnego chłopca przed front. Długo przypatrywał się stary dowódzca temu rycerskiemu polskiemu dziecku, wreszcie ze łzami w oku podniósł go do góry, przycisnął do serca, ucałował i polecił wpisać do Legionów, mówiąc:

— Skoro żyją takie bohaterskie dzieci w Polsce, to nic dziwnego, że Polska nie zginęła i zginąć nie może.

Zajaśniała radością twarz naszego chłopczyny. Zastąpił sobie na siny mundur legionisty i na karabinek. Żołnierze z rozczuleniem patrzyli na malca i ucieszeni przyjęli go w szeregi swoje. Był ulubieńcem kompanii.

Za kilka dni generał przypiął do piersi bohaterskiego chłopca srebrny medal zasługi I. klasy.

PSY NA WOJNIE.

Któż nie zna sprytu i roztropności psa, tego wernego towarzysza człowieka? Któż nie wie o tem, ilorakie usługi oddaje on człowiekowi? To też w czasie obecnej wojny korzysta człowiek z cennych przymiotów psa i używa go do różnych posług w obozie i na polu bitwy.

Psy ciągną wózki z różnemi potrzebami dla wojaska, psy towarzyszą patrolom wywiadowczym i pomagają im wynajdywać ukrytego nieprzyjaciela, psy sprowadzają do obozu zabłąkanych po bitwie żołnierzy, psy towarzyszą sanitaryuszom i odszukują rannych w polu. Wielu żołnierzy zawdzięcza psom uratowanie życia swego, wielu zawdzięcza im to, że nie dostali się do niewoli.

Psy rozpoznają po mundurze żołnierza nieprzyjacielskiego od swojego; na wroga rzucają się zajadle, podczas gdy żołnierza z naszego wojska oznajmniają tylko słabem oszcze kiwaniem. Ale na polu bitwy, wśród rannych nie czynią żadnej różnicy między naszym żołnierzem rannym a nieprzyjacielskim.

O wielkiej użyteczności psów na wojnie opowiadał mi sanitaryusz:

Noc była ciemna i mglista. Przed nami rozciągało się niewielkie pole a za niem las wysokopienny. Drzewa poobalane tamowały ruchy nasze, a ostrzelano nas prawie ze wszystkich stron. W takim położeniu trzeba było nieść pomoc rannym a nie byliśmy wiele zdziałali, gdybyśmy nie byli mieli ze sobą psów przyuczonych do takiej posługi. Poleciliśmy im: „Szukać rannych!“ Zrozumiały ten rozkaz doskonale, zaraz wzięły się do roboty. Już szukają. Biegną naprzód, a my za nimi tak szybko, jak tylko podążyć można.

Nagle jeden z nich staje nad ciężko rannym i jęczącym cicho żołnierzem.

— Dopomóż bracie... ach, jak straszne mam pragnienie... daj pić...

Daliśmy biedakowi kawy z manierki. Wypił zaledwie dwa czy trzy łyki i nie mógł pić więcej. Wzięliśmy go na nosze.

Zaledwie załatwiliśmy się z jednym, gdy już pies dał znać, że znalazł drugiego, za chwilę trzeciego i tak dalej, aż w końcu obeszliliśmy całe pobojowisko i zabrali z niego wszystkich rannych.

Dopiero nazajutrz rano wróciliśmy do obozu z naszymi czworonożnymi pomocnikami. Byliśmy znuzeni i wyczerpani całonocną pracą, ale mieliśmy to wewnętrzne przeświadczenie, że uratowaliśmy wszystkich rannych. Ale także nie małą zasługę w tem dziele miłosierdzia miały psy nasze wierne, bez których nie byłibyśmy w stanie odnaleść wszystkich rannych, a bez naszej pomocy, pozostawieni własnemu losowi, byłiby nędznie poginęli.

BITWA KOŁO SZPITALA.

Wstał piękny pogodny poranek.

Sierżant ranny w nogę włókł, a raczej niósł drugiego żołnierza na stacyę opatrunkową. Była to wielka, wspaniała budowla okolona ze wszystkich stron również wielkimi zabudowaniami gospodarskimi, połączona długim murem z zamkiem staroświeckim.

Położenie, jak na stacyę opatrunkową, wprost wymarzone. Zbliżając się powoli, zauważyli ranni naokół ruch ożywiony. Ze wszystkich stron znoszono pokaleczonych żołnierzy. Pałac, stajnie i stodoły — wszystko było przepełnione. Bitwa musiała być niezwykle gorąca, gdyż ranni napływali bez przerwy. Jedni wlekli się sami z wysiłkiem, znacząc drogę obficie krwią, innych znosili żołnierze sanitarni. Wielu z nich, to ludzie napoły już martwi.

Tymczasem bitwa zbliżała się coraz bardziej ku zamkowi. Granaty pękały tuż pod murami. Widać było coraz lepiej cofające się, wyciągnięte linie piechoty. Rannych, leżących gromadami na słomie pod drzewami i na dziedzińcu zamkowym, zaczynało ogarniać zdener-

wowanie. Ze wszystkich stron słyhać było trwożliwe zapytania:

— Jakto, więc i tutaj nie możemy mieć spokoju? Musimy więc ginąć, nie mogąc się nawet bronić? Czyżby Czerwony Krzyż już nic nie znaczył?

I każdy z tych nędzarzy zwracał mimowoli utrudzone oczy na wysoki dach zamku, szukając z upragnieniem znaku miłości i pokoju. Nigdzie go jednak nie widać. Wreszcie jeden z żołnierzy dostrzega wielki biały sztandar z widocznym daleko znakiem Czerwonego Krzyża. A więc i nieprzyjaciel musi go widzieć. W rannych wstępuje otucha i spokój.

Tymczasem na dziedzińcu zbierają się lżej ranni, przeznaczeni do wymarszu. Na twarzach wszystkich, leżących naokół żołnierzy, widać gorące pragnienie, by ich także zaliczono do tego transportu. Ale to niemożliwe. Odchodzą istotnie tylko sami lżej ranni. Innych mają zabrać wozy sanitarne, które na razie nie mogą zbliżyć się do zamku, gdyż droga znajduje się pod silnym ogniem artylerii nieprzyjacielskiej.

Po długiej wędrówce wśród rannych, zalegających materace, łóżka, kanapy, wyszedł, przywleczone przez sierżanta, żołnierz na piętro. Pierwszy wielki pokój z obszernem łóżkiem, wpuszczonem głęboko w ścianę, zajęty już przez kilku towarzyszy niedoli. Z okna roztacza się wspaniały widok na park stary. Dzisiaj wre tam życie obozowe, pełno tam wojska. Wśród stuletnich drzew żołnierze gotują strawę. Nieco dalej na uboczu kilku żołnierzy kopie grób dla towarzyszków, którzy padli w pobliżu. Inni przyglądają się tej smutnej pracy z troską na twarzy i z niemym pytaniem:

— Kiedy na nas przyjdzie kolej? Kiedy nas złożą w taki cichy, bezimienny grób zdala od ukochanych?

Nagle słyhać w sąsiedniej sali wesołe krzyki. To jeden z żołnierzy znalazł w szafie kilkadziesiąt flaszek wybornego wina starego. Próbują wszyscy. Istotnie doskonałe wino. W drugim pokoju leży młody porucznik. Więc i jemu jedną flaszkę zanoszą, by go pokrzepić.

Po krótkim wypoczynku w tej sali rusza żołnierz w dalszą wędrówkę po zamku, szukając kąta, gdzieby się mógł przespać. Jednak wszystkie sale zajęte. W jednym pokoju, zamieszkiwanym dawniej widocznie przez damę, leżało w łóżku dwóch ciężko rannych, pogrążonych w głębokim śnie, wydających od czasu do czasu głośne okrzyki. To słowa komendy! Widocznie mara wojny nie opuszcza ich nawet we śnie.

Więc ranny żołnierz wlecze się dalej, aż wreszcie znajduje mały, próżny pokój — a w nim łóżko. Rzuca się z radością na ten sprzęt dawno niewidziany i natychmiast zasypia głęboko.

Zbudził się dopiero nazajutrz zrana i z przerażeniem spostrzegł, że wszystkie sale były puste. Gdy zeszedł na dziedzińiec, dowiedział się, iż korzystając z ciemności nocnych, sanitaryusze wywieźli prawie wszystkich rannych, prócz kilkadziesiątu, których już nie można było pomieścić na wozach. Po tych mieli przyjechać później. W zamku prócz rannych pozostało jeszcze kilku lekarzy i sanitaryuszków.

Nagle słyhać w górze przeraźliwy syk a w kilka sekund później wybuch nieprzyjacielski granat na środku dziedzińca, niebawem drugi i trzeci, raniąc po-

nownie rannych już żołnierzy. Lekarze pozostali nakazują odwrót do piwnic. Schodzą wszyscy, a sanitaryusze znoszą ciężej rannych. Widząc potężne, grube, wprost nie do przebicia mury, odetchnęli zebrani tu spokojnie i nad słuchiwali pilnie dalszych wypadków.

Zdaje się, że artyleria nieprzyjacielska zbliżyła się znacznie do zamku, gdyż huk dział staje się coraz bardziej wyrazisty. Po dłuższem wyczekiwaniu lekarze wydają rozkaz, by kolejno, tyłami opuszczać zamek. Nagle znowu straszliwy huk. Cały zamek zadygotał w posadach. Budynki gospodarcze w okamgnieniu stanęły w płomieniach. Był to strzał znakomity.

Spostrzegamy w pobliżu zamku wyciągniętą linię naszej piechoty. Atoli artyleria wymacała ją wkrótce i niebawem zielona murawa została zasłana rannymi i poległymi. Widać ich doskonale: jeden ma urwaną głowę, drugi ręce, trzeci stracił ręce i nogi. Nasi sanitaryusze wybiegają i w chwilę później wracają z nowymi ofiarami.

Wtem znowu przerażający huk i trzask. Piwnice napełniają się gryzącym dymem i kurzem. Dookoła ciemności, słychać tylko brzęk pękających szyb, huk walących się ścian, nowe eksplozye, oraz rozzwierające jęki ranionych. Nikt już nie czuje trwogi, wszyscy pożegnali się z życiem, zazdrościli tylko tym, co padli tam — w bitwie...

Huk armat nie ustaje, pociski biją coraz gęściej w zamek, widocznie artyleria nieprzyjacielska obrała go sobie za cel, zasypując go celnymi strzałami. W kilka chwil później cały zamek stał w morzu płomieni. Płonęły wszystkie zabudowania. Ściany waliły się z trza-

skiem. Za chwilę gruzy mogą pogrzebać wszystkich ukrytych w piwnicy.

Instynktownie każdy szukał wyjścia w nieprzebitych ciemnościach. W piwnicy bowiem nie można było już wytrzymać. Lepiej zginąć na górze od pocisków, aniżeli dać się żywcem zagrzebać. Kilku z rannych oszalało wprost z przerażenia. Straszliwy widok. Lekarze polecają opuścić piwnice. Wszyscy wychodzą powoli z trudem, wlokąc ciężko rannych. Tymczasem pożar szerzy się dookoła z przerażającą szybkością. Granaty padają co krok. Mimo to zdołali żołnierze podsunąć pod okna kilka drabin, aby ratować tych rannych, którzy znajdowali się jeszcze w salach pierwszego piętra.

Wreszcie zebrali się wszyscy razem i powoli zdążyli ku widniejącemu w dali lasowi, gdzie na biedaków oczekiwały wozy sanitarne.

Bogu chwała — zostali ocaleni.

TELEFON.

W terażniejszej wojnie odgrywa telefon bardzo ważną rolę i oddaje nieocenione usługi. To też służba przy telefonie jest bardzo odpowiedzialną a przytem ciężką i niebezpieczną.

Było to w Karpatach.

W budzie naprędce skleconej a naśladowującej doskonale kopiec siana zasiedli do jedzenia oficerowie bateryi, gdy przyszedł podoficer oddziału telefonów z następującym raportem:

— Rano o świcie będzie przypuszczony silny szturm na wzgórze okoliczne. Bateria poprze ogniem posuwającą się piechotę.

Zadanie zgoła nie łatwe. Naokoło góry skaliste, pokryte lasami i tak strome, że na ich zbocza nie wciągnęłyby armat nietylko konie, ale nawet woły. Nie ma rady, trzeba zostać w dolinie. Komendant bateryi daje rozkaz:

— Porucznik Władysław wyruszy o świcie z patroliem wywiadowczym na wzgórze Nr. 498, założy telefon i będzie obserwował stamtąd ogień bateryi.

Młody porucznik, najmłodszy w pułku i dlatego nazywany „panną“, wysłuchał rozkazu, uklonił się i siadł spokojnie do kolacyi. Wnet ożywiła się rozmowa, cieszą się zapowiedzianym szturmem, bo będzie to odwetem na nieprzyjacielskiej artyleryi, której pociski padały bardzo blisko przez dni kilka, chociaż — szczęściem — padały nieszkodliwie. Dziś zmuszono do milczenia armaty przeciwnika, jutro nastąpi obrachunek.

Ledwie zabłysnął pierwszy świt, czterech jeźdźców z młodym porucznikiem na czele ruszyło w kierunku pobliskiego wzgórza, by zająć tam stanowisko obserwacyjne. Dwu z nich po drodze wbijało haki w drzewa lasu, a jadący za nimi rozpinali na tych hakach druty telefoniczne nawinięte na ogromną szpulę.

Gdy tak ostrożnie posuwali się naprzód, bateria powitała wschodzące słońce kilku salwami. Armaty miały cel dobry; na przeciwległej skale umieścili się oficerowie moskiewscy i z tego stanowiska kierowali ogniem swych dział. Trzeba było przeszkodzić im w tej pracy. Kilka doskonale wymierzonych szrapneli poskutkowało. Za każdym następnym strzałem musieli kryć się za skały, a temsamem tracili z oczu pole działania. Ile razy rozległo się wycie lecącego pocisku, głowy ich zniknęły za osłoną.

Tymczasem zadzwonił telefon: porucznik nasz doszedł na szczyt wzgórza i zdawał sprawę z tego, co widział. Przed oczyma jego, a raczej przed szklami lornetki roztaczał się przepiękny widok. Było też stąd widać na przeciwległych zboczach, na które właśnie miał się skierować atak, wykopane przez nieprzyjaciela

rowy strzeleckie, jedne nad drugimi. W razie zdobycia pierwszego, tyralierzy chronić się mieli w następne.

— Te rowy trzeba będzie ostrzeliwać — zauważył komendant.

Rozpoczęło się interesujące widowisko komendy telefonicznej. Z dział padły pierwsze pociski wymierzone wedle odległości obliczonej na mapie. Była to tylko próba, dokonana w tym celu, by nasz porucznik mógł zorientować się lepiej w celności strzałów. Według jego informacji ustalono następnie odległość.

— Pociski padają za daleko! — brzmiał głos w telefonie — jeszcze jeden szrapnel. Tak... lepiej... jeszcze jeden... doskonale! Teraz ognia!

Siedm armat rozpoczęło koncert piekielny. Pociski siały widocznie zniszczenie, gdyż przy każdej chwilowej przerwie Moskale opuszczali rowy tyralierskie i uciekali do dalszych. Teraz i piechota wystąpiła do walki. Zdala dolatywał odgłos strzałów karabinowych, najprzód pojedynczo, potem coraz gęściej, coraz szybciej. Z tej samej strony echo przyniosło huk pękających szrapneli.

— Moskale ostrzeliwują naszą piechotę! — brzmiał głos w telefonie.

— Z jakich stanowisk?

— Nie mogę dojrzeć... Czekać!

Chwila naprężenia... Wtem nagłe wycie... Chwila ciszy... i na pobliskim pagórku zakwitł obłok dymu. Moskale zaczynają nas ostrzeliwać.

— Druga artyleria strzela na was! — poucza telefon.

Zaczyna być gorąco. Dwa nasze działa strzelają dalej do nieprzyjacielskiej piechoty, cztery inne szukają nieprzyjacielskich stanowisk artyleryjskich. Pociski moskiewskie zbliżają się ku nam coraz bardziej. Błysk... huk... słup piasku obsypuje aparat telefoniczny — szczęściem, nie niszczy go. Szrapnel wybuchł o kilkanaście metrów przed baterią. Równocześnie głos w telefonie objaśnia dalej:

— Są... widzę już... Jedno stanowisko tuż pod lasem u wejścia do doliny, drugie powyżej, tam, gdzie skaliste usypiska...

Kilka słów komendy; armaty stają w trzech kierunkach, po dwa działa na każdy cel. Obserwator na górze, komendant, oficerowie, żołnierze tworzą teraz jedno ciało. Praca wyężdżająca, wykonana najdokładniej tuż pod bokiem zdradliwie skradającej się śmierci. Telefon nie milknie ani na chwilę:

— Piechota cofa się... odległość tam a tam... artyleria z pod lasu zmienia stanowiska... jedno działo rozbite... pozostałe ustawiają obok drugiego stanowiska.

Pada odpowiedni rozkaz wykonany w tej chwili. Wydaje się, że z pod tego morderczego ognia nikt nie wyjdzie. Próżno artyleria nieprzyjacielska zmienia stanowiska, szrapnele nasze gonili trop w trop za nią. Minuty płynęły za minutami, dwie godziny wydały się mgnieniem oka. Nikt z nas nie zauważył nawet w piekielnym huku, że działa nieprzyjacielskie ucichły zwolna, wreszcie umilkły zupełnie. Aż głos w telefonie doniósł spokojnie:

— Nieprzyjaciel cofnął się na całej linii: zaprzestać ognia.

MYSZY W GOŚCINIE U ŻOŁNIERZA.

Pewien oficer legionowy (Oremi) opowiada:

W linii bojowej rozgościłem się na dobre. Nademną kilka metrów ziemi. Ziemianka przyzwoita, z trzech pokoi złożona; przy pompie stale pracuje jeden człowiek, bo inaczej musiałbym wnet budować arkę. Ściany z naszych pocziwych sosen, oblepione papierem, obrazy z opuszczonych chat, rewolwer, lorneta, płaszcz, to cała ozdoba mego mieszkania, a piec przyjaciel w kącie. Gwoździe dwudecymetrowe służą jako wieszadła. Na jednym z takich gwoździ spoczywa od dawna mój plecak. Plecak to „wszystko moje“. Jest on spiżarnią i komodą, mieści się w nim kancelarya i wszystko inne.

Umęczony i znużony leżę sobie na wygodnym łóżku, goniąc wzrokiem za leniwie unoszącym się dymem z papierosa. Wtem widzę, jak zgrabnie po ścianie po pasach myszka mała zsuwa się do plecaka i nikiem w jego wnętrzu.

Godzina 9 wieczór. Na dworze od czasu do czasu strzał z przednich placówek, lub głuchy łomot grana-

tów i szrapneli, syk, świst i huk. W oknie błysnie czasem płomień złowrogi wybuchającego pocisku, co poluje na życie ludzkie.

Moja myszka pokazała się znowu, wystawiwszy łebek do góry z prawej kieszeni mego plecaka.

Myszko biedna! Przecież powinienem cię zabić, że tak sama gospodarzysz po mojej ziemiance i wyjadasz mi suchary.

W tej chwili świst, błysk, huk, aż ziemia dudni, a gruzi osypują się ze wszystkich ścian, kto wie, czy w tej chwili nie kończy się życie ludzkie gdzieś o 30 kroków odemnie. Życie tak cenne, tak miłe każdemu... Może w tej chwili modlą się w kraju za ojcem, mężem, bratem, synem, a jego co dopiero rozniósł granat...

Przerażona hukiem myszka schowała się napowrót do kieszeni plecaka.

Cudna wiosna idzie, po polach żółci się kwiecie, słońeczko dniem łaskawe...

Nie, myszko, ja nie chcę ci odbierać życia.

A suchary? Cóż znaczą suchary? Za chwilę może paść granat i roznieść wszystko... ja, ani ty nie będziesz mieć sucharów...

Ordynansi chrapią, telefony jęczą, straże ostrze-liwiają się: zasnąłem.

Noc musiała być spokojna, bo kiedym się rano obudził, ujrzałem około swojego plecaka już dwie myszki: jedna podejrzliwa, szybka, śmigła, druga powolna. Właziły i wylaziły co chwilę z prawej kieszeni mego plecaka. I tak mi przyszło na myśl, może te myszki, to kochające się małżeństwo młode... On jej grucha słodkie słówka do ucha. Może one przeżywają tu szczę-

śliwe chwile w życiu, czasy poślubne? Nie mam sumienia tych myszek zabijać.

Drugiego dnia przyglądałam się ostrożnie. Coś mi tu podejrzane. Zaglądam do prawej kieszeni mego plecaka... O, cudo! Na dobrze i uczciwie przepoconej koszuli, w prawej kieszeni plecaka, w kłębku bielutkie cztery gołe myszki o maleńkich ślepkach.

Przerażona matka blaskiem światła i niepożądaną wizytą uciekła ku powale. Zostawiłem zwierzątko w pokoju i najuroczyściej zapowiedziałem, by nikt nie ruszał plecaka, a bury kot, co często odwiedzał moją ziemiankę, miał od tej chwili wstęp wzbroniony. Kotów i psów bez liku chowają w ziemiankach oficerowie i żołnierze. Czekam. Po upływie godziny ostrożnie wrócili małżonkowie do prawej kieszeni plecaka.

Gdybyście słyszeli, ile tam było radości, pisku, uciechy! Ślepe myszątka tuliły się rzewnie do matki; ona je musiała obwąchiwać, pieścić... Szczęśliwa, kochająca się rodzina. I ja miałbym wam psuć to szczęście? Nie, nigdy!

Bury kocie, nie śmiesz się więcej pokazywać w mej ziemiance. Szczęście tych stworzonek było teraz moim szczęściem. Wszak i one radują się z życia i one się kochają, gniazda budują, dzieci wychowują na zgrabne, ostrożne małe myszki. I tak z pokolenia w pokolenie.

Chcesz, by ci podobne myśli i uczucia przychodziły do głowy, to przyjdź do najprzedniejszych rowów strzeleckich i połóż się pod parasolem granatów i szrapneli.

Wiosna idzie, świat się śmieje. Cudne i piękne jest życie. — Moje myszki mają zawsze na deszczulec przygotowane mięso, cukier, słoninę.

Wywołany telefonem idę do wsi, do mej komendy. Armaty grają. Od czasu do czasu słup ziemi i dymu bryźnie do góry i ziemia zadrży.

Po pięciu godzinach wracam do mej ziemianki z powrotem. Jednak tej nocy nie spałem już u siebie. W czasie mej nieobecności miałem serdeczne odwiedziny. Przyszła *dwunastka* — dwunastocentymetrowa bomba i trafiła w środek mojej siedziby. Zostały się tylko drzazgi i kupa rumowiska z mej ziemianki. Nie było nawet czego szukać.

Nad lejem, więcej niż na chłopą głębokim, siedział, mrużąc, kot bury.

Biedne moje myszki.

Jakże często los niweczy szczęście w chwili największego rozkwitu.

ŚMIERĆ W BAGNACH.

W pochodzie na Lublin dotarł pułk pochodzący z okolic Rzeszowa do bagnisk nad Wieprzem, który płynie wązkim a bardzo głębokim korytem, przyczem tworzy u brzegów przepastne bagniska, wśród których można się przecisnąć tylko wązkiemi drożynami.

Od dwóch przeszło tygodni brzmiał rozkaz: naprzód! tylko: naprzód! a oddziały posuwały się naprzód wśród największego trudu, odnosząc ciągle przewagę nad nieprzyjacielem.

Wtem nagle zarządzono odwrót.

Trudno temu było dać wiarę. Takiego rozkazu nie mieliśmy dotąd; Moskał ustępował wszędzie, więc jak tu pojąć, dlaczego nakazano odwrót. Ale rozkaz musi być wykonany.

Po rozmokłej ziemi i przez trzęsawiska, grożące śmiercią na każdym kroku, poczęto się cofać. Tak dotarły wojska nasze wreszcie do brzegów Wieprza i rozpoczęła się przeprawa po marnym mostku, na którym tłoczyły się treny, artylerya i piechota.

Porucznik zniecierpliwiony wyczekiwaniem kolei swojej, wybrał się z czterema żołnierzami na poszu-

kiwanie jakiegoś przejścia przez rzekę. Posuwali się zwolna naprzód, badając grunt. Porucznik szedł na czele. Nagle, nieostrożny krok i porucznik zapadł się niemal po pierś samą w grząskiem trzęsawisku, tonąc z każdą chwilą przy każdym poruszeniu się coraz głębiej.

Straszna śmierć! Chwila pełna grozy. Kto się zbliży, aby tonącemu pomódz, nie tylko nie pomoże, ale i siebie narazi na śmierć niechybną.

Nasi dzielni chłopcy nie tracą jednak ani chwili. W mig składają na ziemi karabiny i tworzą z nich most, po którym najlżejszy z nich kapral posuwa się ku tonącemu zwolna, dosięga go i jak najprzezorniej poczyna ciągnąć z mułu i trzęsawicy. Pozostali trzej inni żołnierze przerzucają tymczasem sznur ku tonącemu i poczyna się jazda po błocie a właściwie włoczka. Trwa to długą chwilę, a odbywa się w ciszy bez wołania i bez trwogi, jakkolwiek coraz gęśniej poczęły padać nieprzyjacielskie kule, z których jedna dosięgła nawet i zraniła — na szczęście lekko — naszego bohatera kaprała.

Milczący uścisk dłoni był tem serdecznem podziękowaniem, na które w tej chwili mógł się zdobyć przejęty wdzięcznością, uratowany z toni porucznik. Na inne dziękczynienie nie było czasu, bo nieprzyjaciel zaczął przygrzewać coraz bardziej i oddział musiał czemprędzej maszerować dalej.

MSZA ŚWIĘTA W SZPITALU.

Z pola bitwy dowożą rannych dniem i nocą. Szpitale przepełnione... Lekarze i siostry pielęgniarki ledwie podołać mogą pracy.

A chorzy?

Ci męczennicy dzisiejszej wojny cierpią z rezygnacją i z niesłychaną cierpliwością wyczekują pomocy lekarskiej i zmiłowania Bożego.

W sali szpitalnej stoją łóżka szeregami a na nich złożeni chorzy zmizerowani trudami wojny, wybladli od upływu krwi, zmęczonemi i strwożonemi oczyma wpatrują się w twarz lekarza przy każdym badaniu, chcąc wyczytać w jego oczach wyrok śmierci, czy powrotu do zdrowia.

Lekarze i pielęgniarki pocieszają chorych, zalecają cierpliwość, obiecują wyzdrowienie. Ale czyż słowa ich zdolne rozprószyć wątpliwości w umyśle chorego, czy zdolne wzbudzić wiarę w wyleczenie? Sam Pan Bóg tylko mocen to uczynić, tylko w Nim wiara i nadzieja.

Tu leży młodzieniec ze zranioną piersią, na której zwiesza się medalik włożony ręką matki. On ocalił

żołnierza od śmierci i wraca syna matce. Tam jakiś wąsal starszy ma rękę spowitą w gipsie, dalej w kącie leży ranny, któremu lekarz przymocował umiejętnie do drewnianych krosien zagipsowaną i w drewniakach ułożoną nogę strzaskaną. W drugim rzędzie leży żołnierz z twarzą poszarpaną przez szrapnel, obok niego sąsiad z owiniętą szyją, bo nieprzyjacielska kula przeszła mu gardło. I tak dalej i dalej... Boże! co tu cierpienia, co nieszczęścia!

Dzisiaj ma się odbyć msza święta na sali szpitalnej. Ksiądz biskup zarządził, aby odbywała się tutaj przynajmniej raz na tydzień, aby chorych pocieszył sam Chrystus Pan i cierpienia ich ukoił.

Na środku sali ustawiono zwykły stół, na nim płyta marmurowa z relikwiami świętych Męczenników, poświęcana przez biskupa, zastępuje ołtarz. Trzy białe lniane chusty, Boża Męka i dwie świece, to wszystko, co do Ofiary świętej potrzebne.

Zjawia się kapłan w towarzystwie chłopczyka i pozdrowia chorych. Na chwilę uklęka i w skupieniu ducha przysposabia się do mszy świętej. Potem przywdziewa szaty kościelne. Chłopiec daje lekko znać dzwonkiem, że zaczyna się msza święta, i nastaje cisza tam, gdzie niedawno rozlegały się jęki. Widocznie myśl jedna o Ukrzyżowanym, który niebawem zstąpi na ten skromny ołtarz, stłumiła bole i jęki i wlała w serca balsam pociechy. Wśród tej pobożnej ciszy słychać szept pacierzy; czasem ozwie się jakieś gorące westchnienie a nawet szlochanie. W oczach chorych błyszczą łzy, jak perły — ale teraz to łzy słodkie, łzy pociechy, jakimi darzy Chrystus, Król Męczenników.

Trudno opanować wzruszenie, jakie wywołuje ten widok i ta uroczysta chwila.

Znowu odzywa się dzwonek. Kapłan uklęka i wznosi Hostyę świętą, a głowy oparte na poduszkach skłaniają się i słyszą słowa:

O, Jezu, ratuj! Boże, zmiłuj się!

Zbliża się koniec mszy świętej. Kapłan przyjął Komunię świętą, następnie zwraca się ku wychudłym żołnierzyskom, i trzymając w ręku święte postacie, mówi:

— Ecce Agnus Dei!

Następnie rozdziela chórąm chleb Anielski, idąc od łóżka do łóżka... Zdaje się, że to jakieś ewangeliczne zjawienie chwili z przed lat dwu tysięcy, kiedy to Boski Zbawca przechodził ziemię żydowską, kiedy przynoszono doń chorych, aby ich wzmacniał, włożywszy nań Swe święte ręce.

A po mszy świętej rozpogodziły się twarze przeżarte cierpieniem. Chorzy szeptali odchodzącemu kapłanowi:

— Bóg zapłać!

— Już od czterech miesięcy nie mogliśmy słyszeć mszy świętej!

WALKA O CZERNIOWCE.

W sobotę dnia 16. czerwca 1916. roku, gdy armaty wciąż grały, a treny wojskowe przeciągały przez miasto, o godzinie 7 wieczorem otrzymały urzędy rozkaz opuszczenia miasta. Na godzinę 6 rano miało być wszystko przygotowane do pociągu dla urzędników kolejowych, który oprócz mienia państwowego miał zabrać urzędników kolejowych i ich rodziny. Wszyscy urzędnicy przywdziewali mundury. Magistrat miasta wypłacił urzędnikom swoim płacę miesięczną i wysłał ich do Suczawy, dokąd udali się też i inni urzędnicy. Wydano przytem surowy nakaz nieopuszczania Bukowiny bez zezwolenia.

Nagle, nie wiadomo w jaki sposób, rozeszła się wieść, że grupa generała Pappa opuściła pozycye swoje i zaczęła odwrót. Wiadomość ta zgadzała się z rzeczywistością. Wtedy już wszyscy zaczęli się pakować, a szary świt zastał miasto w ucieczce. Ulice były przepełnione ludźmi a tramwaje rannymi, gdyż na rozkaz komendy miasta opróżniano szpitale.

Przed stacją kolejową stał tłum olbrzymi, głowa przy głowie, nie mogąc się dostać na dworzec, na który policja wpuszczała tylko urzędników. O godzinie 8 rano opuścił miasto pierwszy pociąg z 15.000 ludzi. Następny miał odejść o 12 godzinie w południe lub o godzinie 3 po południu. Wielu postanowiło iść piechotą, gdyż ceny wozów wzrosły w niebywały sposób.

Armaty huczały coraz bliżej a w powietrzu ukazał się lotnik rosyjski.

W mieście ceny spadły, bo każdy ofiarowywał swój towar. Papierosy i tytoń, przedtem nie do znalezienia, można było nabyć bez ograniczenia za połowę ceny. Przedmieszczanki, które przybyły na targ z jarzynami, sprzedawały je za trzecią część ceny dawniejszej.

O godzinie w pół do dziewiątej rano dyrekcyja policji zawiadomiła, że miasto znajdzie się wkrótce w ogniu artylerji rosyjskiej.

W mieście pozostali tylko chorzy, rodziny związane z nimi i kupcy, którzy nie mogli zabrać mienia swego.

Wskutek bliskości frontu wojskowość zaspakajała potrzeby swoje u kupców czerniowieckich, których całe mienie było uwięzione w towarach wielomilionowej wartości. Wpadło ono w ręce rosyjskie. Wywieziono tylko majątek państwowy, prywatny został cały w mieście.

Podniecenie tłumu koło dworca wzrosło na wieść o ostrzeliwaniu miasta. Mimo oporu urzędników rzucono się do nawpół próżnych wagonów pociągu wojskowego. To samo stało się z pociągiem następnym. Tak od-

chodził pociąg za pociągiem. W niedzielę wyjechało 6—8 tysięcy ludzi z Czerniowiec.

Minęło południe i wieczór. Wojska nie było widać. W nocy zaczął się gwałtowny ogień artyleryjski. Zdawało się każdemu mieszkańcowi Czerniowiec, że detonacyja następuje w jego domu. Wczesnym świtem wpadły pierwsze szrapnele do miasta, raniąc kilka osób cywilnych. Popołudniu wzmogły się walki. Komenda miasta przeniosła siedzibę swą do części jego północnej. Policja przerwała swe czynności, oddając służbę bezpieczeństwa żandarmeryi. Czerniowce stały się frontem bojowym. Na ulicy Nowy Świat zajął miejsce balon wywiadowczy. Przed teatrem miejskim stanęły ciężkie haubice. Ulice przedstawiały niezwykle ożywiony widok. Armaty, szrapnele, bomby i lotnicy rosyjscy, było to wszystko tak zwyczajne... Przechadzano się dookoła rynku przy muzyce dział 28-centymetrowych. Naprawdę osobliwy widok!

Najstraszniejsza była noc, w której Rosyanie chcieli się wdrzeć od strony Rumunii przez Curyń. Armaty nasze grzmiały przez wiele godzin. Miasto było pogrążone w dymie i w błyskawicach. Nikt nie zamknął oka. Ranek ujrzał znowu setki uciekających. Wewnątrz miasta widać było tylko wojskowych, ledwie tu i ówdzie zabłąkał się cywilny. Raniono znowu kilka osób cywilnych. Rozeszła się wieść o licznych nieudanych próbach Rosyan przejścia przez Prut.

Opróżniono Sadogórę. Rosyanie weszli do tego miasteczka. Rohożna silnie zagrożona. Rozpoczęła się gwałtowna walka. Przy pomocy lunety widać było zaciętą walkę piechoty. Szrapnele padały na północną

część miasta. Ostatni urzędnicy odjechali na południe Bukowiny. Dyrektor policy i prezydent sądu opuścili miasto samochodem.

Cywilna ludność zrozumiała, że losy Czerniowiec są zadecydowane. Od południa aż do wczesnego ranka tej naprawdę strasznej niedzieli uciekano. Pociągi odchodziły w wielkich odstępach. Ostatni pociąg ewakuacyjny opuścił miasto o godzinie wpół do trzeciej w nocy, gdy kozacy dotarli już do ogrodu ludowego. Naczelnik stacyi kazał podłożyć ogień i zapłonęły budynki po drugiej stronie Prutu, rozświetlając noc swem ponurem światłem. Armia nasza rozpoczęła odwrót o godzinie 8 wieczorem. Wyszadzano most na Prucie, a rosyjscy pionierzy budowali przez rzekę most pontonowy.

JAK TO ZAGRAŁ ORGANISTA MOSKALOWI.

Było to w nocy z 18. na 19. października 1914. roku, kiedyśmy dostali rozkaz odegnania bagnetami Moskala z Nowej Wsi, która leży w okolicy Rudnika nad Sanem.

Skorośmy stanęli już całkiem blisko, rozpoczął nieprzyjaciel piekielny ogień. Prażeni niemiłosiernie musieliśmy cofnąć się w tył o jakie pięćset kroków. Przy tem cofaniu się w niewytłumaczony mi dotąd sposób znalazłem się naraz na jakimś trzęsawisku; ani w tył ani naprzód nie można się było ruszyć, przy tem nie wiedziałem, gdzie się znajduję i w której stronie mam szukać oddziału swojego.

Grząłem coraz bardziej i zapadłem już po pas w błoto. Oj źle, pomyślałem, trzeba będzie chyba w tem błocie życie położyć. A tu ciemno, choć oko wykół. Wtem jakimś szczęśliwym odruchem domacałem się drzewa i w tej chwili chwyciłem się mocno rosnącej tam wierzby. Opierając się na niej, wydostałem się z biedą na wierzch. Stać było trudno, bo kule świszczały wokoło raz po raz. Nałamałem tedy wierzby

na dobry snop, ukląknę na nim i rozpoczynam z mej strony strzelaninę. A że było grzązko, musiałem się za każdym strzałem poprawiać, bo bez ustanku zapadałem w bagno. W tej nader niemiłej pozycji wytrzymałem do ranka.

Z pod tego drzewa nie miałem żadnego wyjścia. Gdzieś postąpił, tam grzązłem i traciłem grunt pod nogami coraz bardziej. Czasem topiłem się już po szyję. A od kul było mi tak gorąco, jak kowalom w kuźni od rozpalonego żelaza. Pękające szrapnele chygotały mną, jak burza łódką na morzu. Jedyne ratunkiem wówczas była moja wierzba. Przyszły mi wtedy na pamięć te psalmy, które się śpiewa podczas święcenia w palmową niedzielę, a znam je dobrze, bo jestem organistą i powtarzam je rok rocznie.

Nad ranem poprzez gęstą mgłę spostrzegłem o jakie pięćdziesiąt kroków przedemną jakieś drzewo trzęsące się mocno. Domyśliłem się zaraz, że siedzi na nim rosyjski „ptaszek“; tak nazywaliśmy karabiny maszynowe. Zagnieździł on się na drzewie i tam całą noc „śpiewał“. Od jego to kul było mi tak gorąco. Ale poczekaj! Śpiewałeś mi ty noc całą, zagram ci ja teraz na „jutrznę“, jakem organista. Zmierzyłem wyżej w tym kierunku, huknąłem i od razu ucichło wszystko.

Na wsi zapał kogut i zrobił się dzień. Próbuję wstawać, a zdaje mi się, że nóg nie mam. Oglądam i widzę, że przecież są, ale w tej zimnej wodzie i w błocie zmartwiały mi zupełnie. Począłem je trzeć mocno, poczem z trudem podniosłem się, wziąłem moją „palmę wybawicielkę“, związałem w dwa snopki, które rzucałem poprzód siebie i, tak czołgając się, dostałem się

pod to drzewo, z którego śpiewał ów ptaszek maszynowy.

Leżał tam ów groźny „maszynista“ rażony śmiertelnie, a jeszcze spadając z drzewa rozbił sobie głowę. Na ramieniu miał literę M. i numer 173. Przechyliłem się, zmówiłem wieczne odpoczywanie i rozglądam się, co robić ze sobą. Na około wydawało mi się spokojnie i bezpiecznie, więc ruszyłem w drogę do mojego pułku.

Ale nie uszedłem daleko. Naraz pęka koło mnie niespodziewanie szrapnel i odłamek z niego wydziera mi kawałek dłoni. Padłem skrwawiony, ale na szczęście niedaleko już od swoich. Zobaczyli to nasi i unieśli mię z pola bitwy.

I oto teraz liżę się z moich ran w szpitalu i rozmyślam, co to znaczy owe pięć liter: wojna.

POD ZIEMIĄ.

Po odparciu szalonych szturmów nieprzyjacielskich spostrzeżliśmy, że Moskałom udało się na niektórych odcinkach okopać się prawie tuż przy naszych liniach. Należało ich koniecznie usunąć stąd, bo niepokoiłi nasz front za pomocą miotaczy bomb, ręcznych granatów i rozmaitych środków walczenia z bliska. Nie można ich było wypłoszyć za pomocą artylerii, gdyż zachodziła obawa, że mogą być trafione własne nasze pozycje.

Przyszła tedy kolej na saperów, minerów, którzy mieli usunąć nieprzyjaciela, wysadzając go w powietrze. Rozpoczęli też zaraz pracę swoją. Począwszy od naszych rowów, kopali chodniki podziemne, mające nieco po nad metr wysokości a 80 centymetrów szerokości. Pracowali dniem i nocą. Robotą postępowała powoli, bo saper musi kopać skulony, wśród dusznego powietrza. Im dalej podkopuje się, tem czuje powietrze gorętsze. Pobyt w chodniku staje się nieznośny, działa ujemnie na serce, nerwy ulegają wstrząśnieniom, a ciągle pochylanie się może wywołać także poważne cho-

roby. Gdy jeden saper upada już prawie z wyczerpania, zastępuje go drugi a tego znowu trzeci. Od czasu do czasu wchodzi oficer do chodnika, aby zbadać robotę i dać wskazówki. Saper musi nie tylko kopać, ale także nad słuchiwać ciągle, czy nieprzyjaciel nie kopie chodnika ze swej strony. Może on podkopuje się głębiej, ażeby następnie wysadzić w powietrze chodnik wykopany wyżej. Niebezpieczeństwo grozi pracownikowi każdej chwili.

Wysłany byłem z generalnego sztabu, aby zbadać stan robót jednego chodnika podziemnego. Wyszedłem z najbardziej na pozór wysuniętego rowu, o jakich 180 metrów odległości od frontu nieprzyjacielskiego. Nagle ogarnęła mnie noc, jak w piwnicy, w której nie ma otworu nawet dla dostępu powietrza. Chodnik podziemny, którym idziemy, jest wąski i niski; musimy się schylić i iść naprzód, macając, jak ślepi. Tam całkiem z tyłu, za nami, jakby w nieskończonej oddali, błyszczą światło. W rzeczywistości jest ono bardzo blisko; jest to tylko ciekawe zjawisko optyczne w ciemności.

Nasz przewodnik rozmawia po cichu z dwoma ludźmi. Są to saperzy. Znajdujemy się teraz jakoby na małym placu o 60 metrów od linii rosyjskiej. Pierwszy zygzakowy chodnik był drogą na bliskość, teraz idziemy chodnikiem równoległym do linii nieprzyjacielskiej. Stąd będą doprowadzone nowe chodniki na bliskość aż pod rowy rosyjskie, aby je móżdż w różnych punktach podminować i równocześnie z dostatecznego oddalenia wysadzić w powietrze. Ale jeżeli nie my uczynimy to pierwsi?... Oni, albo my!...

Co za życie?!

Rów strzelecki z otwartem niebem, słońcem, deszczem i mrozem jest pałacem w porównaniu z tą jaskinią milczenia i strasznej ciemności! Nie ma się tu już żadnego poczucia bezpieczeństwa. Czy ta ziemia naokoło jest osłoną, czy też ukrywa w sobie nieprzyjaciela? I jakaż tu walka, jakie zwycięstwo, jaka śmierć? Ci ponurzy żołnierze, jak duchy ziemi albo zatryumfują niewidzialnie, niemo, albo zginą, nie widząc nawet nieprzyjaciela, którego zabijają, albo który ich zabije. Jedna strona lub druga, nie przeczuwając niczego, może w jednej chwili z tej nocy dostać się w jeszcze większą noc śmierci.

Oficer saperów, wspaniały mężczyzna z mądrą, myślącą głową, szepce mi przy drżącym płomyku latarki kopalnianej:

— Chodź pan aż do rogu chodnika do nadśluchiwania w pięciometrowej głębokości, zaledwie o trzydzieści metrów od Moskali.

Nigdy nie zapomnę tego obrazu z silnymi światłami i cieniami: brodata rozwichrzona głowa sapera, delikatny, energiczny profil oficera i ta czarna dziura, w której się kłęczy, i człowiek wciąż naprzód posuwa się i z nieznannej czeluści próbuje wykraść tajemnicę życia i śmierci...

Czołgamy się prawie na czworakach i czujemy pod rękami i nogami słomę. Cichą i powolną pracę wykonuje się tu w głębi. Bez przestanku, niepowstrzymanie wyciągają się czułki coraz dalej, nieznanący spokoju kret kopie się naprzód małymi, regularnymi a pewnymi ciosami. Skupiamy głowy i szepczemy:

— Czy słyhać, żeby i Moskale pracowali?

— Tak, ale jeszcze tak niewyraźnie, tak daleko, że nie można powiedzieć, gdzie.

— A więc...?

A więc, my musimy przyjść pierwsi!

I z pewnością siebie, kładąc mi rękę na ramię, mruknął przewodnik:

— My przyjdziemy pierwsi, tak być musi!

Napowrót na światło dzienne... Wyszliśmy.

Huk armat wydał mi się teraz przyjacielskim, klekot karabinów maszynowych dobrodusznie gderliwym. Słońce błyszczało jeszcze w górze, ludzie chodzili sobie spokojnie po rowie swoim, oddychało się tu pełną piersią.

Kapitan, który mnie prowadził, rzekł zadowolony przy pożegnaniu:

— Do widzenia! A proszę się nie bać, my będziemy pierwsi.

CZY BĘDZIE POLSKA?

Ksiądz Józef Panaś, kapelan Legionów Polskich, opowiada:

Tuż za frontem, dzielącym świat na dwa wrogie obozy, leży na wzgórku piaszczystem stary cmentarz, porośły olbrzymiemi sosnami, które od wieków ocieniają spokojne mogiły. Obok starych, zmurszałych krzyżów i zapadniętych mogił pojawiły się obecnie całe dziesiątki nowych, świadczących o krwawych zapasach, które się rozgrywały w tej okolicy. Legioniści, żołnierze niemieccy, austriaccy i rosyjscy, wszyscy spoczywają razem w braterskiej zgodzie.

Przełajnijmy napisy: „Hier ruht Musketier Jamróg“ (Tu spoczywa puszkarz Jamróg). — „Im Feindeslande für Vaterland gefallen Gefreiter St. Kowalik“ (W nieprzyjacielskim kraju padł za ojczyznę St. Kowalik). — „Ulane Andreas Turaj“. — „Zwei unbekante russische Soldaten“ (Dwaj nieznanymi żołnierze rosyjscy). Krzyż nad nimi prawosławny o trzech ramionach, a na krzyżu wiszą dwa różańce z medalikami Matki Boskiej Częstochowskiej. Takich dla nas bolesnych napisów

bez końca. Większość grobów kryje zwłoki naszych legionistów. Groby pięknie urządzone, na krzyżach polskie napisy i orły legionowe. Spoczywa ich na tym cmentarzu i w najbliższej okolicy blisko 200 żołnierzy i oficerów, którzy poszli za wołaniem Matki-Ojczyzny i tu na jej granicy, jakby wałem złożyli swoje kości w nadziei, że ich krew na darmo przelaną nie będzie.

O wielu z nich pisano pośmiertne wspomnienia i artykuły. Niektórych ekshumowano i na ich pogrzebie były tysiące publiczności polskiej, ale ilekroć jestem na cmentarzu, zawsze jakaś dziwna siła ciągnie mię do małego, zapadłego krzyża z napisem: „Murmyło Bartłomiej, legionista, starszy żołnierz 3 p. p. 2 komp. † 5. listopada 1915“. Jemu też, owemu szaremu żołnierzycowi pragnę poświęcić słów parę wspomnienia.

Było to w czasach strasznej zimy karpackiej. Na prawem i lewym skrzydle Rosyanie byli na Węgrzech, a mimo to 3 p. p. Legionów polskich trzymał się na ziemi polskiej w Rafajłowej, zamykającej przełęcz Pantyr-Rogodze. Była to jedyna miejscowość, która mimo zajęcia Galicyi aż po Dunajec i Poprad pozostała w naszych rękach. Rosyanie używali wszelkich sposobów, aby zdobyć tę ostatnią przełęcz, lecz nadaremnie. Zresztą o Rafajłowej, zasypanej śniegami, zapomniano na świecie. Poczta do nas prawie nigdy nie dochodziła. Pisaliśmy rzadko, a do najbliższej stacji kolejowej mieliśmy sto kilometrów. Nawet mapy sytuacyjne, wydawane w tym czasie, Rafajłowę umieszczały daleko za frontem rosyjskim.

Przyszła ofenzywa lutowa. Dopiero wówczas przypominano sobie, że jedna przełęcz jest w naszym ręku

i cała Rafajłowa została wypełniona masą wojska i artylerji. Rosyianie bronili się zawzięcie, bo przerwanie ich linii otwierało drogę doliną Bystrzycy aż do Stanisławowa i zagrażało tyłom rosyjskim.

Legioniści szli naprzód; w pierwszym nocnym ataku na rosyjskie pozycje na stokach Maksymca dotarli pod same kamienne okopy. Tutaj zostali otoczeni, a wielu ich pozostało w dolinie Maksymca — nazwanej doliną śmierci. Rozpoczęła się sześciodniowa zawzięta walka przy 24 stopniowym mrozie. Chłopcy padali z mrozu, przemęczenia i głodu. Dostarczenie żywności na stoki górskie, pełne zapadlin i głazów było w nocy rzeczą wprost niemożliwą, a w dzień trzeba było przechodzić przez ogień nieprzyjaciela, który ze swych pozycji mógł każdą muchę zauważyć. Pierwsza patrol wysłana z żywnością dostała się pod gwałtowny ogień nieprzyjacielski i zostawiwszy zapasy wróciła na dolinę. Pułkownik Haller kazał im natychmiast wrócić, a za przewodnika dał im ordynansa pułkowego Murmyło. Zwinny, jak kot, chłopak przyjął rozkaz z radością, wdrapał się na skałę i powyciągał wszystkich za sobą. Prowianty wyciągnął na ścieżkę, idącą górą, i wprawdzie czterech Bogu ducha winnych kucharzy było rannych, ale chłopcy dostali jeść. Za okazaną odwagę został zamianowany starszym żołnierzem.

Najważniejsze rozkazy rozwoził Murmyło. Z niesłychanie zimną krwią przechodził wśród gradu kul. Jego towarzysz, niosący rozkaz do oddziału karabinów maszynowych, wyszedł za próg i ledwie zdołał wykrzyknąć: „Jezus!“ już był martwy. Murmyło wrócił z po-

zyci. Zdawało się widać, że po stokach górskich coś za sobą ciągnie.

Na świerkowych gałęziach ciągnął z góry starego Tyrolczyka, który przed dwoma dniami został ciężko ranny w głowę i stoczył się z pozycji 10 metrów na dół. Byłby biedak zamarł, ale że to był stary praktyczny landszturmista, więc skoro się znalazł na dole, posłał sobie namiot, przykrył się dobrze kołdrą, osłonił śniegiem, gryzł „zwieback“ i konserwy, no i od czasu do czasu wołał: „Hilfe! Hilfe!“ (Pomocy! Pomocy!), aż się jej wreszcie doczekał od naszego Murmyła.

W piątym dniu bitwy przybył do nas rotmistrz z austro-węgierskiej dywizji. Gdy przechodził górską ścieżką ku pozycjom, został trafiony ekrazytówką w rękę i stoczył się po stoku góry na zupełnie otwarte miejsce naprzeciw rosyjskich okopów. Ordynansi zbiegli natychmiast i zameldowali to pułkownikowi Hallerowi. Gdy otrzymali rozkaz poszukiwania rotmistrza, oświadczyli, że on z pewnością zabity, a wydostanie go z owej dolinki jest zupełnie niemożliwe. Wówczas Murmyło poszedł na ochotnika z dwoma towarzyszami. Po kilku godzinach przywieźli rotmistrza na sankach. Po drodze pytali, gdzie go zawieźć do opatrunku:

— Do was bliżej, a moja rana krwawi — odpowiedział.

Po opatrunku, gdy go znowu Murmyło odwiózł dalej ręcznymi sankami, rotmistrz wyjął bankot stukoronowy i rzekł:

— Knabe, mit eigener Lebensgefahr hast du mir das Leben gerettet, nim zum Andenken. (Chłopcze,

uratowałeś mi życie z niebezpieczeństwem własnego życia, weź to na pamiątkę).

Na to skłonił się Murmyło i odrzekł:

— Ich danke gehorsam, ich bin ein Legionär!

(Dziękuję posłusznie, jestem legionistą).

Przeszedł Murmyło szczęśliwie całą ofensywę lutową aż pod Stanisławów, brał udział w obydwóch ofensywach besarabskich, a często widywałem go, jak zakurzony, zabłocony, z karabinkiem przewieszonym przez plecy, z chyżością charta biegał z rozkazami.

W ciemną dżdżystą noc listopadową przyniesiono na plac opatrunkowy rannego. Była już ich w tym dniu taka masa, tylu mieliśmy zabitych, że człowiek zupełnie zobojętniał. Podchodzę bliżej, aby się zapytać, gdzie jest ranny, a on z radością wyciąga do mnie rękę i woła:

— Ach, to nasz ksiądz z Rafajłowej. Tak dawno księdza nie widziałem... myśmy tutaj wczoraj przybyli... przywieźli nas z Besarabii... spełniło się, o cośmy Boga prosili. Wszyscy polscy legionieści są razem...

Mimo zmiany poznałem go natychmiast. Na smagłej, krzepkiej twarzy ból wykuł nowe wyrazy szlachetności i poświęcenia.

— Proszę księdza — mówił dalej — ja dzisiaj umrę, bo jestem ranny w brzuch, a wiem dobrze, że na to nie ma ratunku; chciałbym się wypowiedzieć.

Każda wielka i święta dusza jest zawsze gotowa na śmierć. Po spowiedzi chciał jeszcze Murmyło pogwarzyć ze starym przyjacielem i pyta:

— Proszę księdza, czy będzie Polska?

— Będzie, drogi bracie — powiedziałem — ale skoro tak koniecznie chcesz umierać, to pamiętaj także o tem, aby w niebie modlić się, żeby u nas była jedność i zgoda.

Na drugi dzień odprowadziłem na cmentarz zwłoki szesnastoletniego szarego bohatera, który całem dzieviczem sercem ukochał Polskę, o niej zawsze myślał i mówił, dla niej padł na polu chwały. Smutny to był pogrzeb; nawet garstka kolegów z okopów przybyć nie mogła; grób wykopali dwaj sanitaryusze.

Mogiła porosła już trawą wiosenną, jodły szumią, jak przed wiekami, na froncie wre zacięty bój, jak przed siedmiu miesiącami, a nad wałem grobów Murmyłów, Łysków, Tarkowskich wyciąga ramiona wielki krzyż dębowy z napisem:

My krew i życie niesiem w dań,

Ty Ojczyzno z grobu wstań.

Lipiec. Dzień pogodny i gorący.

Tuż za wsią pierwsze mogiły. Małe, porośnięte trawą i zielskiem groby z wetkniętymi, skleconymi z drewniek krzyżykami. Na jednym napis:

„Tu leży Polak
w wojnie zabity
umarł 22. st. 1915 Roku“.

JUŻ KWIECIEM POROSŁY ICH GROBY.

Cała ziemia nasza przesiąkła znowu krwią walecznych dzieci swoich, pokryła zwłoki tysięcy, tysięcy młodych bojowników, którzy ukochaną ojczyznę swoją pragnęli uwolnić od wroga, którzy pragnęli wywalczyć szczęśliwą przyszłość wolnej Polsce i za nią życie swoje młode złożyli w mogiły.

Drogie te mogiły bohaterów naszych zasiały znowu gęsto pola i łąki, góry i lasy ziemi naszej ukochanej, murawa i kwiecie bujne pokryło ich ciche, szczupłe mieszkanie, a skowronki przyśpiewują im do snu wiecznego.

Śpijcie w spokoju! Czyny wasze nie zginą, ofiara wasza serdeczna nie pójdzie na marne. Z wdzięcznością a ku chwale waszej wspominać będą pokolenia po pokoleniach trudy wasze i boje. Ojczyzna nie zapomni, co wam winna.

Śpijcie w spokoju!

I oto tutaj nad Rawką także jedno z wielu miejsc waszych zmagañ się śmiertelnych, bohaterzy!

Dalej przy drodze, wiodącej przez lasy, spotyka się, co pewien czas takie samotne groby bez napisu. Tu pochowani są Rosyanie zmarli w drodze odwrotnej. Im bliżej tartaku, osady leśnej, którą w swoim czasie wspominały często komunikaty wojenne, coraz częściej spotyka się groby, także porozbierane już teraz rowy strzeleckie, „ziemianki“. Drzewa tu przerzedzone, powycinane, ziemia skopana, poryta.

Nareszcie tartak.

Na miejscu, gdzie stała piętrowa murowana leśniczówka, opasana ogrodem, gdzie stały zabudowania gospodarskie, tam oczom naszym przedstawiają się rumowiska i gruzy. Zamiast ogrodu — otoczony parkanem cmentarz. Ziemia zryta pociskami, ogromne wyrwy już porośnięte zielskiem. Tu poczynają się główne stanowiska Rosyan w czasie walk długich nad Rawką.

Droga ku Rawce prowadzi lasem. Słońce dogrzewa mocno, wiatr ustał, w powietrzu wokoło nadzwyczajna cisza. Uderza przyjemny zapach poziomek, które niezliczonym mnóstwem porastają wały, brzegi okopów i groby... Cały las zdaje się być poryty rowami, jakimiś podziemnymi przejściami pozapadanymi. Wszę-

dzie po ziemi poniewierają się porozrzucone puszkę od konserwów, sprzęty połamane, jakieś nie do poznania szmaty.

Dalej zarosła, szeroka, niegdyś ślicznie utrzymana droga, obecnie wcale nie uczęszczana. Pokrywają ją nadzwyczaj wysokie trawy i olśniewające bogactwo kwiatów. Kwiaty zaścieniają całe przestrzenie porytej ziemi. Wszystkie niezwykle bujne i wysokie. Jakies złotawe, podobne do dziewanny, to kępami ciemnomodre kwiaty, znów cykorye, albo delikatne lila leine, gwoździki, a gęsto przy „ziemiakach“ wszystkie odcienie lila i białe przepiękne maki.

To wszystko stoi cicho, jak zaczarowane, mieniając się barwami. Zdaje się, że mający jakiś sen piękny, a pełen minionej grozy, co tu wisiała. Ziemia dyszy upałem i zalatują słodkie zapachy kwiatów.

Ślady zrujnowanych okopów artyleryjskich. Tylko „ziemiak“ oficera została nietknięta. Przed nią ławeczka z oparciem, a obok — grób. Napis zrobiony ołówkiem, zatarty; rozpoznać tylko można „...gieroja... praporszczyk 20 let.“ — Krzyż na nim ścięty kulami; niżej przyległy plamą kwiateczki czerwone, niby kałuża krwi.

Coraz więcej widać drzew powalonych, pozrywanych szrapnelami i ogromne doły, na pięćdziesiąt trzy kroki w około, po brzegach powtłaczane w ziemię mniejsze i większe odłamy żelaza.

Droga skręca i oczy uderza obraz, od którego bije niemal przerażenie, taki widok ponury, niepokojący. Ogromna przestrzeń lasu, pokrywającego niedawno wysoki brzeg Rawki, to teraz bezlitośnie poła-

mane, poszarpane, odarte z kory, uschnięte resztki, które sterczą ku niebu, jak kikuty żalosne.

Tędy przeszedł orkan pocisków, piekło nie do opisanania.

A ziemię, na której nie ma ani kawałka miejsca nieposzarpanego, niestratowanego, pokrytą odłamami drzew i pocisków, przepojoną krwią, potem i znojem — porasta przebuje kwiecie!

Bolesny kontrast!

Gdy po przebrnięciu wszystkich przeszkód stanie się nad Rawką i spojrzę w dół, za rzekę, na rozległe łąki i pola — zdaje się, że tamto było piekłem, ujrzanem tylko w wyobraźni.

Od wody wieje chłód a lekki wiatr porusza w dole krzakami, które stoją nietknięte, ocalone. Zielone listki szumią na wietrze, a ich szept delikatny zdaje się mówić:

— Pokój poległym... swoim i obcym... wszystkim, których przygarnęła ziemia polska.



67632